

O węglu, złocie i wodzie źródlanej

Walbrzyscy seniorzy opowiadają dzieciom legendy naszego miasta



Wałbrzych 2015

Publikacja wydana w projekcie:
„Legandy wałbrzyskie oczami seniorów”
dokumentującym działania artystyczne seniorów w Wałbrzychu,
dotowanym przez Gminę Wałbrzych.



Autorki:

Maria Krajewska
Elżbieta Kwiatkowska-Wyrwisz
Alicja Mikołajczyk
Janina Mikołajek
Magdalena Sakowska
Maria Widerowska

Redakcja: Magdalena Sakowska

Korekta: Magdalena Sakowska

Autor okładki:

Skład: Teresa Ziegler

Wydawca: Sudecki Uniwersytet Trzeciego Wieku w Wałbrzychu

Spis treści

Wprowadzenie

Maria Krajewska

Legenda o cudownym uzdrowieniu

Legenda o Skale Olbrzyma lub Zakochany Olbrzym

Legenda o tym, jak powstał zamek Książ

Legenda o zwycięskiej miłości

Elżbieta Kwiatkowska-Wyrwisz

O wałbrzyskich niedźwiedziach i lwach

Alicja Mikołajczyk

Legenda o wałbrzyskiej kapliczce Maryjnej

Duch kupca

O odważnym Henryku

Janina Mikołajek

O wiernej Inez

Dodatek 1: Janina Mikołajek z wnuczką Kariną

Krótką baśń o Zuli i Wzgórzcu Gedymina

Maria Widerowska

Czarne złoto Wałbrzycha

Złoto Pełcznicy

Dodatek 2: Przedstawienie dla dzieci *Zaczarowane kamienie, czyli skąd się wziął węgiel w Wałbrzychu?* (zdjęcia)

Dodatek 3: Przedstawienie kabaretowe *Skąd się wzięła nazwa Biały Kamień i dlaczego na Chełmcu nie ma słowików?* (zdjęcia)

Ilustracje do legend

Wskazówki bibliograficzne

Wprowadzenie

Nie trzeba być Hansem Christianem Andersenem, żeby opowiadać dzieciom baśnie. Baśnie opowiadano dzieciom już wtedy, kiedy nikomu się jeszcze nawet nie śniło o wielkich bajkopisarzach, ani nawet o drukowanych książkach. A regionalne podania były jakby dziejopisarstwem ludzi niepiśmiennych, przekazywanym ustnie z pokolenia na pokolenie. To „mała historia”, która od zarania dziejów ludzkości była opowiadana przez najstarsze pokolenie najmłodszemu – kiedy rodzice pracowali w polu lub w warsztacie, babcia czy dziadek odpowiadali na niezliczone pytania pilnowanych przez siebie wnuków, tłumacząc, czemu tę górę czasem zakrywają chmury, skąd się wziął kamienny monument na rozstaju dróg i czemu koń ma na nogach takie dziwne, rogowe narośle. Tak dzieci poznawały echa wydarzeń z przeszłości, wierzenia i obyczaje swoich bliskich, pełne motywów folklorystycznych, które, jak udowodnili sto lat temu fińscy badacze, rozpowszechnione były w całej Europie.

Gdy czytamy podania, na pejzaż, który widzimy wokół, nakłada się pejzaż mityczny, który urzeka przecuciem jakiejś nieokreślonej tajemnicy. Nie tylko góry, lasy, bagna, rzeki, jaskinie, ruiny, źródła, ale także zapadłe miasta, ukazujące się raz w roku wieczorne zamki, nawiedzane przez duchy mogiły i kurhany, pamiątki dawnych wojen, lochy pełne skarbów, których nikt nie jest w stanie wydobyć, kamienie, które kiedyś były zaklętymi ludźmi albo zgubiły je jakieś złe moce budujące coś na rozkaz czarnoksiężnika. A także i obszar przenikania się obu światów, miejsca, gdzie przyroda jest pierwotna i gdzie można spotkać istoty takie jak Karkonosz, Duch Gór. To wszystko oddziaływało i na naszą wyobraźnię, kiedy byliśmy dziećmi i teraz też oddziałuje na wyobraźnię naszych dzieci i wnuków. Wiele moich znajomych matek mówiło mi, że dzieci przechodzą czasem w wieku kilku lat fazę silnej fascynacji lokalnymi podaniami.

Legendy są na pewno ważną dziedziną twórczości ludzkiej psychiki, w nich znajdują ujście ogólnoludzkie tęsknoty, pragnienie sprawiedliwości, odwieczny konflikt dobra ze złem i wyraża się nadzieja, że dobro jednak wygra, choć ponura codzienność na to nie wskazuje. I że warto opowiedzieć się po jego stronie. To nie tylko „mała historia”, to była także szkoła życia wielu wchodzących w dorosłość pokoleń. Ale legendy mogą także zawierać okruchy prawdy historycznej, pamięć o zmianach lokalizacji jakiejś miejscowości, o jej powstaniu, o tym, jak było na początku. Nie ma niczego nadzwyczajnego w tym, że dziecko znajduje węgiel w lisiej jamie, albo że człowiek w niezwykłych okolicznościach ocalony od śmierci stawia z wdzięczności kapliczkę.

Trzeba także pamiętać, że na Dolnym Śląsku przez wieki żyli wspólnie Polacy, Niemcy, Czesi i inne narodowości, a folklor dolnośląski jest ich wspólnym dorobkiem. Liczba zebranych tu podań i legend sięga kilku tysięcy. A są na ogół w języku niemieckim, bo w takim języku spisywali je badacze w XIX wieku.

Nasze miasto ma wiele legend, których potencjał nie został jeszcze twórczo wykorzystany, a na naszych oczach tworzy się nowa – o „złotym pociągu”, która żyje już życiem niezależnym od potencjalnego znaleziska przy ul. Uczniowskiej. Jej nagły rozwój ukazuje, jak bardzo ludzie są spragnieni opowieści dotyczących swojego miejsca urodzenia – i tego, żeby w nich przetrwał i objawiał się swoisty „duch” tego miejsca. To potrzeba uniwersalna, odczuwają ją chyba wszystkie narody świata. Podania wałbrzyskie, jak i inne na

Dolnym Śląsku, długo po wojnie nie widziały światła dziennego w druku, bo kojarzyły się z dawnymi niemieckimi mieszkańcami. Jednak, jak zauważają Wojciech i Zygmunt Kłodniccy (*Dziedzictwo kulturowe Dolnego Śląska*, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1996, s. 39), były podobno jedyną tradycją, którą szybko przejmowali od mieszkających tu jeszcze Niemców polscy przybysze – i opowiadali dalej „poniemieckie” legendy po polsku, czasem dodając nowe szczegóły, wątki przywiezione ze swoich rodzinnych terenów. Pomyślmy – może ten sam proces ciągnął się przez wieki, a niektóre z naszych legend mogą być tak dawne jak nazwy rzek, które także wędrujące ludy przejmowały od siebie nawzajem.

Krzysztof Kwaśniewski, autor wielu opracowań legend dolnośląskich, zauważył, że podania lokalne niekiedy są wciąż żywe. Jak pisał, pierwszy ich zbiór wydał w latach 60-tych i w ciągu trzech dekad od tamtej pory w przynajmniej dwóch dolnośląskich zamkach znów „widziano” opisywane przezeń duchy (*Podania dolnośląskie*, Cadus, Wrocław 2002, s. 6).

Kornelia Dobkiewiczowa, autorka kilku tomów literacko opracowanych legend dolnośląskich, stwierdziła, że zdarzają się legendy „falszywe” (*Szkarłatny Rycerz*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1978, s. 7), stworzone przez mieszkańców danego miejsca na przykład na bazie wątków antycznych. Legendy o dwóch wiernych żonach z zamku Nowy Dwór też wykazują pewne podobieństwa do mitów greckich o wiernej Penelopie i o niewiastach, które z oblężonego grodu wyniosły za zezwoleniem nieprzyjaciół „to, co miały najcenniejszego” – czyli... własnych mężów na plecach. Ale te opowieści mogły równie dobrze powstać w ludowej wyobraźni.

Najbogatsze jak do tej pory opracowanie legend Wałbrzycha i okolic to *Geschichte und Sagen der Burgen und Städte im Kreise Waldenburg (Dzieje i podania zamków i miast w regionie Wałbrzycha)*. Jego pierwsze wydanie miało miejsce pod koniec XIX wieku. Jego autor, główny nauczyciel miejski Wilhelm Reimann, wzbogacił legendy o rys historyczny dotyczący zamków i miejscowości. Zastosował też interesujący podział legend oprócz kryterium geograficznego – a zatem poza tekstami związanymi z miejscowościami: Wałbrzychem, Boguszowem-Gorcami, Mieroszowem, Rybnicą Leśną, Dzieńmorowicami, Kamienną Górą oraz zamkami: Książem, Nowym Dworem, Rogowcem, Radosnem, Cisami, Grodnem i tak zwanymi „zapomnianymi zamkami”, mamy także grupę legend związanych z Chełmcem i Górą Sowimi oraz legendy górnicze i tkackie. Spośród tych wszystkich podań z Wałbrzychem, jaki znamy dziś, są związane te o sanktuarium Matki Bożej Bolesnej, o Książu i Nowym Dworze, o Chełmcu oraz niektóre legendy górnicze i tkackie – na przykład ta o „lisiej kopalni” i ta o duchu kupca ukazującym się na rozstajach w okolicach Niedźwiadków.

Oto kilka refleksji po lekturze dzieła Reimanna. Legendy związane z zamkiem Nowy Dwór, który popadł w ruinę pod koniec XVI stulecia, mają surowy, średniowieczny charakter. To opowieści o rycerzach rozbójnikach i ich skarbach, o powrotach z wypraw krzyżowych, o obleganych zamkach, o polowaniach na groźne zwierzęta, o zaginionych w bitwach królewiczach.

Natomiast legendy związane z Książem mają o wiele bardziej baśniowy, fantastyczny charakter: pojawiają się w nich tajemnicze przepowiednie, czarnoksiężnicy, rusalki, dziewczęta zakłute w kwiaty, olbrzymy, duchy myśliwych i psów, pogańskie łąki, na które wejście groziło śmiercią, czy dzwony, których dźwięk rozlegał się wieczorem wokół zamczyska. Prawdopodobnie to wpływ romantyzmu, z którego mozolnie oczyszczali

dolnośląskie podania wrocławscy profesorowie – a panom Książa widocznie się takie podobały.

Wałbrzych w oczach Wilhelma Reimanna to ośrodek kultu Maryjnego, bo wszystkie cztery legendy, jakie przytacza, są związane z drewnianym kościółkiem i figurą Maryi - to opisy Jej cudownych interwencji. Jedna z nich skojarzyła mu się nawet z Jasną Górą.

Legendy górnicze i tkackie ukazują na ogół ciężkie życie zwykłych mieszkańców miasta i okolic, a często spotykanym motywem jest tutaj bieda. Zwykli ludzie raczej rzadko pojawiają się jako bohaterowie opowieści związanych z zamkami, chyba, że są nieszczęśliwymi poszukiwaczami skarbów, takimi jak drwal Grundel. Legendy górnicze są tak uniwersalne, że właściwie mogłyby być opowiadane w każdym mieście, w którym są kopalnie. Główną postacią jest w nich oczywiście Skarbek lub Skarbnik, pilnujący porządku pod ziemią.

Jeśli chodzi o legendy tkackie, dominuje w nich pierwiastek grozy. Nie są to bowiem opowieści o pierwszych tkaczach na wzór opowieści o pierwszych górnikach - to straszne historie opowiadane wieczorami przy krosnach, by czas się nie dłużył. Pełno w nich strzyg i upiorów, duchów i nawiedzonych miejsc.

Ciekawy jest też krąg legend związanych z Chełmcem, w których dominuje jedna postać, a jest to wyjątkowo brzydka i złośliwa, ale także nieprzewidywalna wiedźma Tobmetzen (Tobmetze, Tobmaze).

Do opracowania w projekcie „Legendy wałbrzyskie oczami seniorów” zostały wybrane zarówno podania bardzo znane, wielokrotnie interpretowane, takie jak opowieść o pierwszej wałbrzyskiej kopalni czy o załączku naszego miasta wokół drewnianego kościółka i cudownego źródła, jak i te mniej znane – o początkach Podgórze czy Białego Kamienia, o odważnym Henryku czy o duchu kupca.

Nasze autorki opracowały te opowieści z myślą o wałbrzyskich dzieciach, które są – obok swoich nauczycieli – głównymi adresatami niniejszej publikacji. Wskazywały na ponadczasowe wartości – odwagę, gdy trzeba ratować bliską osobę („Legenda o Skale Olbrzyma”), wdzięczność („Legenda o cudownym uzdrowieniu”), czy wierność („O wiernej Inez”). W naszej książce wałbrzyscy seniorzy, jak przed wiekami, opowiadają wałbrzyskim dzieciom związane z miastem legendy. Ale robią to w nowoczesnej formie, aby zmienić stereotyp seniora w oczach dzieci dzięki bliższemu wzajemnemu poznaniu – a także stereotyp młodego człowieka w oczach seniora.

Wspólna praca seniorów i młodzieży odbywa się pod hasłem: „pokolenie dziadków dla pokolenia wnuków” – chcemy zwrócić uwagę na to, jak ważne jest uczestnictwo starszych osób w wychowaniu dzieci, nawet jeśli nie mają one własnych wnuków. Senior jest tu ukazywany w sposób tradycyjny, jako osoba mądra i mająca dużą wiedzę, opowiadająca dawne baśnie i legendy najmłodszemu pokoleniu, jak to się dzieje we wszystkich chyba kulturach świata – i jako osoba nowoczesna, która potrafi to zrobić wbrew stereotypom, korzystając ze zdobyczy cywilizacyjnych, takich jak komputer, Internet, audiobook, fotografia cyfrowa.

Interesującą sprawą w dalszej interpretacji przedstawionych tu legend na użytek młodych odbiorców mogłoby być na przykład wskazanie problemów społecznych, które są i

dziś aktualne, a znajdują swoje odzwierciedlenie w tekstach: problem osamotnionej młodzieży, która może się zainteresować działalnością przestępczą i problem nadmiernego materializmu („Złoto Pelcznicy”), problem wieloletniego pobytu jednego z rodziców za granicą („O wiernej Inez”) czy problem dzieci, które są pozostawiane bez nadzoru rodziców (podanie o chłopcu, który odkrył węgiel). Legendę można na przykład przenieść we współczesne realia, tworząc „nową wersję”, osadzoną w Wałbrzychu w wieku XXI i zaproponować młodym odbiorcom swego rodzaju wędrówkę w czasie.

Za pomocą naszego projektu chcemy zachęcić wałbrzyskich seniorów oraz nauczycieli do opowiadania dzieciom legend, słuchania ich z nimi wspólnie, rysowania, malowania, rzeźbienia, robienia zdjęć, wystawiania przedstawień, wycieczek do opisanych miejsc, gier terenowych, a nawet... wymyślania na użytek młodych odbiorców nowych opowieści w oparciu o bogatą topografię naszego miasta.

W ramach projektu słuchaczki Sudeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku na podstawie poniższych streszczeń napisały jednaście legend i jeden scenariusz gry miejskiej, zilustrowały je na zajęciach artystycznych pod kierunkiem Takisa Makandasisa, wystawiły przedstawienie wraz z dziećmi z Integracyjnego Przedszkola Samorządowego nr 17 z Oddziałami Specjalnymi podczas obchodów Dnia Dziecka w Centrum Nauki i Sztuki Stara Kopalnia, wystąpiły w kabaretowej wersji jednej z legend, którą obejrżeli słuchacze SUTW, a także opracowały swoje teksty w postaci cyfrowej: e-booka oraz nagranych audiobooków. Podczas przedstawień robiły też zdjęcia, które później można było obejrzeć na wystawie, podobnie jak ilustracje. Seniorzy z SUTW mieli również możliwość wysłuchania wykładu na temat wałbrzyskich podań. Legendy, nagrane na płyty, zostały rozprowadzone wśród dzieci w szkołach podstawowych. Plik z legendami w postaci cyfrowej można znaleźć na stronie wto.walbrzych.pl.

Legendy zostały przez nasze autorki potraktowane w twórczy sposób: czasem pojawiają się w nich nowe wątki, nowe postacie. To zachęta dla opowiadających te historie dzieciom: nie zawsze trzeba po prostu czytać. Jak widać w książce, dawne podania można opowiadać na różne sposoby – jest tu i proza, i poezja, i formy dramatyczne. Ciekawy jest eksperyment Janiny Mikołajek, która wraz z wnuczką Kariną wymyśliła nową legendę dotyczącą jeziora na Wzgórzu Gedymina – i do tego, do wspólnego wymyślania całkiem nowych historii też zachęcamy. Kto wie, może w ten sposób powstanie jakaś nowa wałbrzyska legenda?

Adresatami naszego projektu są wałbrzyscy seniorzy, pedagodzy oraz wszystkie dzieci wałbrzyskie teraz i w przyszłości.

Na zakończenie chciałabym podziękować wszystkim, którzy wzięli udział w opracowywaniu legend: utalentowanym słuchaczkom Sudeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, które wiele serca włożyły w pisanie, czytanie, malowanie i rysowanie, robienie zdjęć i odgrywanie ról: Basi Bogackiej, Marysi Krajewskiej, Elżbiecie Kwiatkowskiej-Wyrwisz, Ali Mikołajczyk, Jasi Mikołajek, Alinie Piątkowskiej, Basi Pielech, Eli Sejdzie, Irenie Strzelczuk, Marysi Widerowskiej, kierownik SUTW Teresie Ziegler, a także paniom Joannie Topolewskiej i Joannie Zawiszy-Smejliś z Przedszkola nr 17.

Magdalena Sakowska

Legenda o cudownym uzdrowieniu

Streszczenie. *Pewien rycerz polujący razem z księciem zapuścił się daleko w lasy w pogoni za wspaniałym jeleniem. Udało mu się go postrzelić, ale kiedy podszedł do niego bliżej, ranne zwierzę zerwało się i ugodziło go rogiem. Umierający rycerz poprosił o pomoc Matkę Bożą. Nagle usłyszał szmer źródła, poczołgał się w tym kierunku, napił się wody, trzy razy obmył ranę i odzyskał siły oraz zdrowie. Nagłe wytrysnięcie źródła uznał za cud i za radą księcia zbudował tam ku czci Maryi kapliczkę, do której wkrótce zaczęli zjeżdżać się pielgrzymi ze wszystkich stron, bo woda miała cudowne właściwości. Z czasem dla obsługi tych pielgrzymów pojawili się tam stali mieszkańcy i tak poczęła się rozrastać osada, nazwana później Leśnym Grodem (Waldenburg), Leśną Górą (Waldenberg) lub Pielgrzymią Górą (Wallenberg), a dziś znana jako Wałbrzych. Jest też wersja, w której ranny rycerz ma wizję Maryi tulącej zmarłego Jezusa i widzi, jak źródło wypływa z ronionych przez nią łez, a potem każe wyrzeźbić Pietę i umieścić w kapliczce. I inna wersja, według której bohatera atakuje nie jelen, lecz dzik, a życie ratuje mu przechodząca nieopodal córka bartnika, obmywając mu rany wodą z już istniejącego źródła. On z wdzięczności stawia kapliczkę i poślubia dziewczynę. Ponieważ data wzniesienia drewnianego kościółka według kronikarza Ephraima Ignatiusa Naso (*Phoenix redivivus*, rok 1667) przypada na czasy panowania Bolesława Wysokiego (około 1190 r.), w niektórych polskich wersjach to on jest owym księciem na łowach.*

Opowiada Maria Krajewska

Posłuchajcie, moi drodzy, co wydarzyło się bardzo, bardzo dawno temu. Nie widziałam tego na własne oczy, ale słyszałam o tym wiele razy z różnych podań i legend. Kiedy to się wydarzyło, nie było jeszcze książek, radia ani telewizji i nawet Internetu nie było. Wszystkie bajki i legendy przekazywane były w ustnej tradycji z pokolenia na pokolenie. Dopiero w XVIII wieku zaczęto spisywać te zasłyszane w czasie jesiennych i zimowych wieczorów historie, opowiadane przez bazarzy. Były to starsze osoby, można powiedzieć bezdomne, które wędrowały po wioskach i miasteczkach słuchając różnych bajek, klechd, legend. W czasie jesieni i zimy, chodząc po różnych miejscowościach, za kąt do spania i miskę stawy powtarzały domownikom zasłyszane w świecie opowieści. Oto jedna z nich.

Dawno, dawno temu nasze tereny były porośnięte olbrzymimi borami. Z dalekiej Jerozolimy, z krucjaty – wyprawy krzyżowej, po ciężkich bojach i trudach wracał rycerz. Wieść niesie, że był on z rodu Czettritzów. Wracał ze swoją drużyną do swojej rodziny. Jechali przez bory, zmęczeni daleką drogą i głodni, a zbliżał się wieczór. Nasz rycerz, nazwijmy go Henryk, rzecze: – Słudzy moi, zatrzymamy się tutaj. Rozstawcie namioty, rozpalcie ogień, a ja upoluję jakiegoś zwierza na wieczerzę.

Wsiadł na konia i ruszył w las. Odjechał szmat drogi od obozowiska, kiedy ujrzał dużego, dorodnego odyńca. Napiął cięciwę łuku i wypuścił strzałę, która ugodziła zwierzę. Ranny dzik zaczął uciekać, a Henryk ruszył w pogoń za nim, wypuszczając w jego kierunku kilka strzał. Wreszcie dojrzał na polanie nieruchomo leżące zwierzę. Zsiadł z konia i podszedł

do dzika, który wydawał się martwy. Przyklęknął przy nim, ale umierające zwierzę zerwało się ostatkiem sił i rzuciło się na Henryka. Przygniotło go swoim cielskiem, a szablą (dziki mają w pysku kły - dolne nazywane są szablami, a górne fajkami) rozorało mu nogę. Z bólu krzyknął przeraźliwie. Wystraszony koń pognął w las, a rycerz został sam. Rana bardzo krwawiła, Henryk próbował zrzucić z siebie martwego dzika, ale nie miał siły.

– Pomocy! Ratunku! Jestem na polanie! – wołał, ale słyszał tylko szum drzew i widział na ciemnym niebie gwiazdy nad sobą. Krew wciąż wyciekała z rany i rycerz czuł, że z minuty na minutę słabnie. Wiedział już, że życie z niego ucieka. Tak bardzo chciał żyć.

- O, Matko Boża, Maryjo, błagam Cię, Pani, o pomoc! – zaczął się modlić. - Tyle ciężkich chwil przeżyłem, walcząc o grób Twojego syna Jezusa Chrystusa. A teraz, tak blisko domu, gdzie czekają na mnie żona i dzieci, umieram, ginę. O, Pani, Niebiańska Królowo, ratuj mnie i moją grzeszną duszę. Pani, ulituj się nade mną grzesznikiem, ratuj mnie, będę Cię słaawił do końca moich dni! O, Pani!

Wtedy nagle zdarzył się cud. Rycerz tuż obok siebie usłyszał szmer wody - z ziemi wytrysnęło źródło. Reszką sił zaczerpnął wody dłonią i napił się. Poczul, że wracają mu siły, zaczerpnął jeszcze i obmył krwawiącą ranę. To, co się stało, wprawiło go w zdumienie. Rana zablizniła się i przestała krwawić. Cudowna woda okazała się nadzwyczajnym lekiem. Teraz Henryk mógł zrzucić z siebie martwe zwierzę i wyjąwszy róg wzywał swoją drużynę. Ukląkł i patrząc w rozgwieżdżone niebo zaczął żarliwie się modlić: - Matko najświętsza, dziękuję Ci z całego serca, że mnie grzesznego ocaliłaś. Będę Cię wielbił, a w podziękowanie za cudowne uzdrowienie postawię tu kapliczkę na Twoją chwałę. Cudowne źródło ujmę w studnię, aby chorzy potrzebujący pomocy mogli z niego korzystać.

Jak przyrzekł, tak się stało. Wybudował małą drewnianą kapliczkę z figurką Matki Boskiej. A, że drużyna Henryka opowiadała o jego cudownym uzdrowieniu, do kapliczki i źródła zaczęły przybywać rzesze chorych, nawet z najdalszych stron świata. A Henryk niedaleko kapliczki i źródła wybudował zamek i założył gród, nazywając go Waldenburg, czyli Leśny Gród. Z biegiem lat na miejscu drewnianej kapliczki postawiono murowany kościółek, w którym za ołtarzem znajdowało się cudowne źródło. Długie lata służyło ono chorym ludziom, ale nagle zniknęła z niego cudowna woda. Studnia stoi sucha. Ja myślę, że to ze względu na ludzkie grzechy i przywary. Ale wierzę, że kiedy ludzie nie będą walczyć ze sobą, przelewać krwi, gdy zniknie z ich serc nienawiść do tych, którzy mają inną barwę skóry i inne wyznanie, gdy będą szanować bliźniego swego, powróci cudowna woda do studzienki w kościółku Matki Boskiej Bolesnej - patronki Wałbrzycha.

Maria Krajewska

Legenda o Skale Olbrzyma lub Zakochany Olbrzym

Streszczenie. *Ta legenda ma kilka wersji. Najbardziej znana jest ta, w której olbrzym mieszkający w dzisiejszym Parku Książańskim dla zabawy rzuca w dół kamienie, czasem na ludzi, czasem na ich domy, potrafi też ludzi łąpać i pożerać. Pewnego dnia chwycił siostrę leśniczego z Pełcznicy, która umie pięknie śpiewać, więc nie zabija jej, tylko więzi, żeby słuchać jej pieśni. Jej brat ją uwalnia, ale oboje zostają zatrzymani nad urwiskiem przez olbrzyma i wtedy sprytny leśniczy zakłada się z nim, że olbrzym nigdy nie podniesie wielkiego głazu, który znajduje się obok. Ten czyni to, po czym zapada się pod nim skała, grzebiąc go na dnie wąwozu w stercie głazów. Do dziś w parku widać te głazy i Siedzisko Olbrzyma.*

Opowiada Maria Krajewska

Bardzo, bardzo dawno temu, w okolicy dzisiejszego zamku Książ, do doliny, przez którą płynie Pełcznica, a którą otaczają wielkie skały, nie wiadomo skąd i jak przybył bardzo brzydki i złośliwy Olbrzym. Zamieszkał na jednej ze skał. Był ogromny, brudny i cuchnący. Miał olbrzymie łapy, a palce zakończone były szponiastymi pazurami. W złości rozłupywał skały i rzucał je na ludzkie domy, niszcząc je, a pod ich gruzami ginęli ich mieszkańcy. Olbrzym wtedy śmiał się okropnym śmiechem.

Mieszkańcy okolicznych osad żyli w ciągłym strachu, bowiem, kiedy nieopatrznie znaleźli się w pobliżu potwora i nie zdążyli w porę uciec, czekała ich niechybna śmierć w jego łapach. Gdy chodził po okolicach, ziemia się trzęsła od jego dudniących kroków. Niszczył uprawy, zdeptując je swoimi olbrzymimi stopami.

Na skraju lasu, na polanie, w drewnianym domku – leśniczówce mieszkał młody leśniczy Bożywoj ze swoją żoną i synkiem. Razem z nimi mieszkała młodsza siostra leśniczego, Bogumiła. Była piękna jak majowy poranek, niebieskooka, z włosami złotymi jak dojrzały łan zboża. Lubiła chodzić po lesie i łąkach, zbierając kwiaty, zioła i leśne owoce. W piękny słoneczny dzień usiadła nad strumieniem i czesząc swoje złote włosy radośnie śpiewała. Jej czarowny głos usłyszał na swej skale szpetny Olbrzym i rzekł do siebie: - Co za słodki głosik, któż tak pięknie śpiewa? Muszę to zobaczyć!

Podkraść się, a ujrawszy nad wodą przepiękną dziewczynę, oniemiał z wrażenia. – Musi być moją żoną! Tak bardzo ją pokochałem, nie wyobrażam sobie życia bez niej! – powiedział olbrzym, pośpieszył nad strumyk i zawołał do dziewczęcia: - O, piękna zostań moją żoną i zamieszkać ze mną na skale, gdzie mam dom! Będiesz umilała mi życie swoim pięknym śpiewem. Taki czuję się samotny, od kiedy cię ujrzałem i pokochałem!

Bogumiła, ujrawszy Olbrzyma, bardzo się przestraszyła, ale nie pokazała tego po sobie. Postanowiła być miłą, żeby nie rozdrażnić potwora.

– Panie, nie mogę zostać twoją żoną bez zgody mojego brata. Wiem, że on i jego rodzina nigdy się na to nie zgodzą. Ja też bardzo bym za nimi tęskniła. Przykro mi – odpowiedziała spokojnie.

Olbrzym zazgrzytał tylko straszliwie zębami i odszedł, ale w jego głowie zrodziła się pewna myśl. Po kryjomu śledził całymi dniami piękne dziewczę, aż wreszcie wykorzystując okazję porwał je na swoją skałę. Bożywoj nie mógł pogodzić się z losem siostry. Chciał ją uwolnić z łap potwora, ale jak to zrobić? Głowił się nad tym, jak go przechytrzyć, ale tak, aby nie mógł skrzywdzić jego siostry albo rodziny. Wreszcie wymyślił. Poszedł pod skałę Olbrzyma i krzyknął:

- Hej, Śmierdzielu! Zgodzę się oddać ci moją siostrę za żonę, pod warunkiem, że wykonasz kilka prac, które ci wyznaczę. Ale do chwili ich wykonania zwróć nam Bogumiłę, która będzie ze mną obserwować, jak wywiązujesz się z zadań.

Uszczęśliwiony Olbrzym z wielką radością przystał na warunki, bo był pewien, że nie będzie takiej pracy, z którą by sobie nie poradził.

- Pierwsza praca, którą masz wykonać, to wykarczowanie tego kawałka pola z wszelkich drzew i krzaków, aby można było na nim uprawiać zboże – zażądał Bożywoj.

Olbrzym szybko uporał się z zadaniem, wrywając olbrzymie drzewa z korzeniami. Uradowany, że tak sprawnie mu poszło, krzyknął do leśniczego: - Szybko, wyznaczaj mi drugą pracę, bo nie mogę się doczekać, kiedy dostanę Bogumiłę!

- Dobrze, teraz zaoraj to pole, aby można było je obsiać zbożem – odparł brat dziewczyny. Olbrzym skoczył i swoimi szponiastymi palcami szybko zaorał całe pole. Po wykonaniu tej pracy stanął na swojej skałe i uderzając się pięściami po klatce piersiowej krzyczał donośnie: - I co, dobrze?! A teraz daj mi następne zadanie!

- Dobrze - zaczął chytrze Bożywoj – ale nie wiem, czy sobie z tym poradzisz. Wyrwij i odrzuć daleko tę skałę – to mówiąc, wskazał skałę, na której stał Olbrzym. A ten, bez namysłu, spiesząc się, aby otrzymać upragnioną nagrodę, wyrwał głaz spod swoich stóp – i runął w dół do wąwozu. Łoskot spadających kamieni, przysypujących Olbrzyma, zagłuszył jego straszliwy krzyk. Tak mądry leśniczy uwolnił okolicę od zniechęconego potwora. A mieszkańcy na pamiątkę tego wydarzenia nazwali to miejsce niedaleko zamku Książ Skałą Olbrzyma.

A czy to prawda, czy nie, niech wierzy, kto chce.

Maria Krajewska

Legenda o tym, jak powstał Zamek Książ

Streszczenie. *Legenda, bardzo przypominająca historię o chłopcu, który znalazł węgiel w lisiej norze, w ciekawy sposób (który mógł zainteresować członków rodu Hochbergów) wiąże pochodzenie zamku z wałbrzyskim węglem i kopalniami. Podobno w roku 933 cesarz niemiecki odwiedzający okolice dzisiejszego Wałbrzycha otrzymał w darze od młodzieńca o imieniu Fryderyk dziwne kamienie, które rozgniewany taką zniewagą cesarski sługa cisnął w ogień. Kiedy kamienie zaczęły jasno płonąć i dawać ciepło, zachwycony cesarz kazał Fryderykowi wybudować zamek o nazwie Funkenstein, czyli „Kamień sypiący iskry”, aby strzec tego cudownego znaleziska. Takie też miano odtąd nosił Fryderyk.*

Opowiada Maria Krajewska

Legenda ta opowiada o tym, że zamek Książ założył rycerz Fryderyk Funkenstein na polecenie cesarza niemieckiego Henryka Ptasznika. A, jak to bywa z legendami, w każdej na pewno jest ziarenko prawdy. Dawno, dawno temu, bo chyba około roku 933, kiedy okolice dzisiejszego zamku były niezamieszkałe i porastały je nieprzebyte bory, burgrabia niedalekiego grodu Strzegom wezwał jego mieszkańców i rzekł im:

- Wkrótce zaszczyci nas swoją obecnością Jego Cesarska Wysokość, sam cesarz Henryk Ptasznik. A, że jego przyjazd jest niezwykłym wydarzeniem, na jego cześć urządzę wielki turniej dla giermków, a kto zwycięży, otrzyma z rąk cesarza rycerski pas.

Jeden z giermków burgrabiego, imieniem Fryderyk, bardzo chciał walczyć na turnieju, więc udał się do niego i spytał: - Jaśnie panie, czy ja mogę wziąć udział w zawodach? Tak bardzo chcę się wykazać i otrzymać z rąk cesarza pas!

- Możesz walczyć, ale pamiętaj: jeżeli zwyciężysz i otrzymasz od cesarza pas, musisz mu wręczyć jakiś niezwykły dar – odrzekł burgrabia.

Fryderyk długo myślał, co takiego nadzwyczajnego mógłby ofiarować cesarzowi. Myślał, myślał, ale nic nie wymyślił. Wypytywał mieszkańców grodu, ale nie uzyskał od nikogo żadnej rady. Wreszcie postanowił: - Dość mam tego wymyślania, pojedę zapolować na jakiegoś zwierza.

A trzeba wiedzieć, że w tych czasach w okolicznych borach było bardzo dużo przeróżnych zwierząt. W lesie młodzieniec ujrzał pięknego, dorodnego jelenia. Zapragnął go upolować. Przez wiele godzin gonił go po leśnych ostępach. Zapadł już zmrok, kiedy Fryderyk zorientował się, że nie zdąży wrócić do grodu. Szybko zbudował sobie z gałęzi szałas. Rozpalili ognisko, aby ogień odstraszał dzikie zwierzęta. A, że był głodny, upiekł sobie pieczeń z jelenia i spokojnie położył się spać. Rano, po przespanej nocy, zbierał się do powrotu.

– Muszę zagasić to ognisko, żeby nie było żadnej pożogi, ale czym, przecież tu nie ma żadnego strumienia? – zastanawiał się Fryderyk, rozglądając się dookoła. – O! Już wiem, tyle tu leży jakichś czarnych kamieni, zasypię nimi ogień.

Szybko kilka pozbierał i tak właśnie uczynił. Wielkie było jego zdziwienie, kiedy zobaczył, że ogień, zamiast przygasnąć, rozpalił się żywym płomieniem.

– O Boże, co to za dziw? Dlaczego te kamienie nie zagasły ognia, tylko płoną? Jakie to piękne! – zawołał młodzieniec. – Nazbieram ich do swojej torby i zabiorę ze sobą. Ciekawe, czy w grodzie też będą miały taką moc?

Po przyjeździe do grodu Fryderyk sprawdził, czy tak jest – i było. – Tak, te kamienie są cudowne. Już wiem, one będą darem dla cesarza - zdecydował.

Wreszcie przybył cesarz i odbył się wielki rycerski turniej. Zwycięzcą został Fryderyk, który okazał się najsprawniejszym i najlepszym ze wszystkich uczestników. Podczas wspaniałej uczyty nadszedł czas wręczania cesarzowi darów. Fryderyk przystąpił do cesarza i wręczył mu swoją torbę myśliwską, mówiąc: - Wasza Cesarska Wysokość, przyjmij ode mnie ten skromny dar, te czarne cudowne kamienie.

Świta cesarska oburzyła się na taką zniewagę, a burgrabia strzegomski wyrwał z rąk cesarskich torbę Fryderyka, wściekły krzyknął: „Jak śmiesz obrażać Jego Cesarską Wysokość!” i wrzucił ją w ogień kominka. I to, co się stało, wprawiło zebranych w zdumienie. Dziw nad dziwy, ogień w kominku rozjaśniał niezwykłym płomieniem, a w komnacie zrobiło się ciepło.

Cesarz wstał i kładąc dłoń na ramieniu Fryderyka rzekł: - Zaiste, tylko ty, Fryderyku, podarowałeś mi dar godny cesarza. Jest on nie tylko bogactwem, ale i dobrodziejstwem. Przeto mianuję ciebie swoim rycerzem, którego imię od tej pory brzmieć będzie Funkenstein (Kamień Dający Iskry). Opuścisz ten gród i udasz się w pobliską okolicę, znajdziesz odpowiednie miejsce, w którym postawisz zamek i będzie on strzegł tego skarbu.

Fryderyk wzruszony przyklęknął u stóp cesarza i złożył mu ślubowanie: - Panie, masz we mnie dozgonnego sługę. Poszukam dogodnego miejsca na którymś ze skalistych wzgórz, tam wybuduję gród i nazwę go Funkenstein. A powierzonych mi skarbów będę strzec jak oka w głowie.

Tak to powstała legenda o wzniesieniu zamku Książ i o bogactwie naszego regionu - węgla. Jest ona podobna do legendy o Lisim Kamieniu – czyli o znalezieniu węgla, ale trochę inna. Ale ile w niej prawdy, tego nie wie nikt.

Maria Krajewska

Legenda o zwyczajnej miłości

Streszczenie. *Dawno temu w Wałbrzychu mieszkała rodzina bogatego włoskiego kupca. W jego córce, pięknej Santa Paoli, kochał się ubogi rzemieślnik Ditter, ale ojciec nie zezwalał jej na ślub, a ona była posłuszna. Pewnego razu przed natarczywymi zalotami Dittera ukryła się w kościółku Matki Boskiej Bolesnej i poprosiła Maryję, aby mogła się zmienić w najszkaradniejszą pannę na świecie. I tak się stało, okryły ją splątane włosy, na twarzy pojawiły się ropiejące krosty, wyrosła jej też długa broda, ale Ditter rozpoznał ją po sukni, padł przed nią na kolana i ponawiał swe wyznania, aż zrozumiała, że to musi być prawdziwa miłość, skoro nawet jej metamorfoza nie zmieniła tego uczucia. Oboje poprosili Maryję o przywrócenie Santa Paoli dawnego wyglądu, co się stało po obmyciu przez nią twarzy wodą z cudownego źródła. Wkrótce w tym samym kościele wzięli ślub, a żeby żonie zapewnić utrzymanie, Ditter wykarczował kawał lasu przy potoku, który odtąd zaczęto zwać Dittersbach i założył tam osadę. Dziś to część dzielnicy Podgórze.*

Opowiada Maria Krajewska

Dawno, dawno temu, kiedy nie było jeszcze Wałbrzycha, jaki dziś znamy, a wokół były osady, które teraz tworzą nasze miasto i są jego dzielnicami, przybył z dalekiej Italii z rodziną bardzo bogaty kupiec, który się tu osiedlił i bogacił się handlując z innymi krajami. Miał żonę i przepiękną czarnowłosą córkę Paolę.

Tuż przy rynku osady znajdował się niewielki warsztat szewski młodzieńca o imieniu Ditter. Pewnego dnia z okna swojego warsztatu zobaczył on piękną Paolę i zakochał się w niej, jak to się mówi, od pierwszego wejrzenia. Ona bogata panna - a on klepiący biedę szewc. Zakochany młodzieniec szukał każdej sposobności, by spotkać ukochaną, posyłając jej uśmiech, miłe słowo. Paola nie była obojętna na zaloty przystojnego młodzieńca i zakochała się w nim. Zwierzyła się matce: - Pani matko, zakochałam się bardzo w jednym młodzieńcu.

- A kto to jest, moja córko, skąd pochodzi i czym się zajmuje? – spytała matka. - To szewc Ditter, ubogi, ale bardzo mnie kocha i ja też go kocham. Chciałabym wyjść za niego za mąż – odpowiedziała dziewczyna.

Małżonka kupca opowiedziała o wszystkim swojemu mężowi, który wpadł we wściekłość: - Nigdy w życiu nie pozwolę na żaden ślub! Kto to widział, żeby panna z dobrego domu wyszła za mąż za biedaka, który na pewno czyha tylko na posag! Zabraniam ci, Paolo, spotykać się z tym szewcem! Jeśli nie posłuchasz i zobaczę cię z nim, pójdziesz do klasztoru!

Dziewczyna skrycie płakała i tęskniła, ale nie sprzeciwiała się woli ojca. A Ditter, gdy tylko widział wychodzącą na spacer ukochaną, szybko zamykał warsztat i próbował podejść do niej, aby powiedzieć jej o swojej miłości, lecz ona go unikała.

Pewnego razu zobaczyła zmierzającego ku niej Dittera, a wiedząc, że ojciec stoi w oknie, ze strachu pobiegła przed siebie. I szybko schroniła się za ołtarzem w kościółku Matki Boskiej Bolesnej. Zrozpaczona dziewczyna zaczęła się modlić:

- Maryjo, Matko Bolesna, widzisz moje strapienie i moją boleść, dopomóż mi! Proszę Cię, uczyn mi tak brzydką, aby każdy mężczyzna patrząc na mnie czuł odrazę. Zlituj się! - I prośby jej zostały wysłuchane. Ditter podążając za nią dotarł do kościółka, gdzie ujrzał potwornie brzydką dziewczynę. Ale zobaczył, że jest ona w sukni Paoli, rozpoznał ją. Padł przed nią na kolana:

- Paolo, szczęście moje, dla mnie jesteś najpiękniejsza na świecie! Kocham cię i będę kochał do końca moich dni. Błagam cię, wyjdź za mnie! Będę tu przed tobą klęczał tak długo, aż zgodzisz się zostać moją żoną.

Wtedy Paola zrozumiała, że jest to najprawdziwsza miłość, skoro jej obecny wygląd nie odstraszył młodzieńca. Dowiedział się od niej, dlaczego tak się zmieniła i razem zaczęli się modlić: - Najświętsza Panienko, prosimy cię gorąco o łaskę przywrócenia Paoli poprzedniego wyglądu. Wysłuchaj naszych błagań! Pani Miłosierna, Ty wszystko możesz, zlituj się nad nami!

Zapłakana dziewczyna nachyliła się nad studzienką, w której była woda z cudownego źródła i zaczerpnęła jej dłonią, by obmyć twarz. I wtedy stał się jeszcze jeden cud, Paola wróciła do poprzedniego wyglądu. Radość obojga była ogromna.

Wkrótce w tym kościółku wzięli ślub. Kupiec wyrzekł się córki, a Ditter, aby jego żona mogła żyć w dostatku, wykarczował ogromną połąć lasu przy potoku i założył tam osadę. Od tego czasu potok ten nazywano Dittersbach. Osada z czasem rozrosła się w część obecnego Wałbrzycha – dzielnicę Podgórze.

A Paola i Ditter żyją w legendzie świadcząc o tym, że prawdziwa miłość potrafi zwyciężyć wszystkie przeciwności losu.

Urodziłam się 70 lat temu w leśniczówce na magicznej górze Ślęży. Dlatego jest we mnie coś z czarownicy. Młodość spędziłam w leśniczówkach wśród lasów. Dlatego kocham przyrodę, spacerować po lesie i wędrować po górach. Interesuję się literaturą, malarstwem, muzyką i lubię fotografię. Napisane przeze mnie legendy dedykuję moim wnuczkom: Jankowi, Maksymilianowi, Julii, Aleksandrze i Piotrowi.

Maria Krajewska

O wałbrzyskich niedźwiedziach i lwach

Opis. *Poniższy tekst nie jest legendą, lecz propozycją zarysu gry miejskiej, dla której punktem wyjścia jest jedna z legend związanych z zamkiem Nowy Dwór. Całość stanowi przykład właśnie takiego potraktowania legendy wałbrzyskiej jako źródła inspiracji, od którego można zacząć i rozwinąć zupełnie nową historię.*

Opracowała i opowiada Elżbieta Kwiatkowska-Wyrwisz

Ci, którzy odwiedzili zamek Grodno w Zagórzcu Śląskim, pamiętają niezwykłą historię o psie, który ocalił syna właściciela zamku, gdy ten zsunął się ze swojego kuca i wisiał nad przepaścią z nogą w strzemieniu. Opowieść tę utrwalono na obrazach, jednak ponieważ zamek Nowy Dwór - który od uderzenia pioruna spłonął w 1581 roku – od setek lat jest ruiną, nie zachowała się na żadnych obrazach ani w pamięci wałbrzyszan historia o dzielnym Henryku, 15-letnim synu jednego z Czettritzów, właścicieli zamku. Młodzieniec ten postanowił wymknąć się do lasu, by samodzielnie stawić czoła wielkiemu, groźnemu niedźwiedziowi, którego nikt nie był w stanie pokonać. Niestety, ta „próba dorosłości” o mało nie zakończyła się dla niego tragicznie. Życie chłopca ocaliła załoga zamku, która ruszyła na pomoc i udało jej się ubić rozjuszone zwierzę, a pamięć o tym wydarzeniu przetrwała w lokalnym nazewnictwie.

Do drugiej wojny światowej tak zwaną Szwajcarską Dolinę (przez którą przebiega dziś ulica Świdnicka) nazywano Bärengrund, czyli Doliną Niedźwiedzią, a dolinę, gdzie dziś przebiega ulica Przeskok – Heinrichgrund, czyli Doliną Henryka. Co ciekawe, pobliskie wzgórza, które dziś noszą nazwę Niedźwiadki, nazywane były przez Niemców Butterberge, czyli... Góry Maślane.

Czy tylko tyle było w Wałbrzychu śladów niedźwiedzi? Można to jeszcze sprawdzić. W kilka kilometrów od Niedźwiadków znajduje się Niedźwiedzica, wieś, której niemiecka nazwa brzmiała Baarsdorf, czyli Niedźwiedzia Wieś.

Poza tymi nazwami trudno byłoby jednak szukać w Wałbrzychu niedźwiedzi, ich wizerunków czy rzeźb. Ale niedźwiedzia niewielkiego wzrostu możemy jeszcze dziś zobaczyć w naszym mieście. Gdzie? W lapidarium Muzeum Porcelany. Starsi wałbrzyskanie zapewne pamiętają, że w latach 50-tych i 60-tych XX wieku niedźwiedź żył w ogrodzie zoologicznym w parku im. Jana Sobieskiego... Warto zapytać rodziców i dziadków, czy pamiętają i czy mają jakieś zdjęcia z tego ogrodu? Są jeszcze inne ślady zwierząt. Widać je choćby w nazwach 8 ulic: Gołębiej, Lisiej, Ptasiej, Słowiczej, Smoczej, Sowiej, Wilczej i Wroniej. Kto wie, w których dzielnicach miasta się one znajdują?

Zapraszam na spacer po naszym mieście tropem innego wielkiego, drapieżnego zwierzęcia, króla zwierząt, którego sam wygląd budzi podziw i grozę.

Dziś nikt nie pamięta, kiedy, skąd i dlaczego przybył do Wałbrzycha pierwszy lew. Nawet wtedy, gdy we wspomnianym parku Sobieskiego czy później na zboczu poniżej zamku Książ był mały ogród zoologiczny - nie było w nich lwa. Mimo to w mieście można było spotkać i spotyka się nawet dziś lwy stojące lub wylegające się na słońcu. Poszukajmy ich.

Do najstarszych lwów, które przetrwały do dziś, należą lwy książańskie i lwy na Starym Zdroju. Te ostatnie przetrwały już ponad dwieście lat. Budynek, na którym się znajdują cztery lwie głowy, stoi przy ulicy Pocztowej 9 na Starym Zdroju. Pochodzi z około 1800 roku. Lwy „pilnowały” tego niezwykłego domu, patrząc z góry na dziedziniec i okolicę – ich podobizny pozostały do dziś na jego szczycie. Czemu? Przed wojną ulica ta była wspaniałą wysadzaną lipami aleją spacerową dawnego uzdrowiska Altwasser. Sam budynek pełnił funkcję domu zdrojowego, zwał się Löwenhaus, czyli Lwi Gród, Dom Lwów lub Kamienica pod Lwami i służył kuracjom.

Dziś tylko te lwy pamiętają świetność dawnego uzdrowiska, do którego zjeżdżali tłumnie goście z całej Europy – wśród nich królowie, książęta, dyplomaci, artyści, pisarze... Portrety czterech lwów, umieszczone pod dachem, spoglądają na dziedziniec przed budynkiem i przyglądają się przechodniom.

<http://dolny-slask.org.pl/847358.foto.html?idEntity=543343>

Lwy książańskie siedzą dostojnie na kamiennych cokołach dziedzińca zamkowego – strzegą zamku, podtrzymują tarcze herbowe i z uwagą obserwują zwiedzających. Ale w parku książańskim można odnaleźć także inne lwy – trzeba tylko zejść asfaltową drogą do Świebodzic, żeby odkryć, że dwa kolejne lwy z dumą pilnują odremontowanej niedawno bramy parkowej. A jeśli wejdzie się do zamku Książ – cóż, na pewno niejednego lwa jeszcze się tam odnajdzie, choćby na tarczy herbowej rodu Hochbergów nad głównym wejściem

<https://www.google.pl/maps/@50.8426777,16.2931569,3a,75y,114.57h,93.52t/data=!3m6!1e1!3m4!1sf70tCXxaz7M9Ahr9Jg2q3g!2e0!7i13312!8i6656!6m1!1e1?hl=pl>

Jest też w Wałbrzychu jeszcze jeden lew – astronomiczny. Razem z innymi znakami zodiaku, będącymi patronami miesięcy drugiego półrocza nie tylko pilnuje, ale też i zdobi wejście do budynku przy ul. Orzeszkowej 14 na Nowym Mieście.

https://www.google.pl/maps/place/Elizy+Orzeszkowej+14,+58-301+Wa%C5%82brzych/@50.7700371,16.2930864,3a,75y,333h,90t/data=!3m7!1e1!3m5!1sLqYFG1XFcXBuqiFvK1yb8A!2e0!6s%2F%2Fgeo2.ggpht.com%2Fcbk%3Fpanoid%3DLqYFG1XFcXBuqiFvK1yb8A%26output%3Dthumbnail%26cb_client%3Dsearch.TACTILE.gps%26thumb%3D2%26w%3D86%26h%3D86%26yaw%3D333.95453%26pitch%3D0!7i13312!8i6656!4m2!3m1!1s0x470e513589b7c783:0x8bdd3150ac6b171a!5m1!1e4!6m1!1e1?hl=pl

Były lwy jeszcze w innym miejscu. Jest w naszym mieście plac, który przed II wojną światową nosił różne nazwy, m. in.: Kaiser-Wilhelm-Platz, później Rathausplatz (czyli plac cesarza Wilhelma i plac Ratuszowy). Po wojnie został nazwany placem Wolności, a później placem Magistrackim. To na nim właśnie wylegiwały się na słońcu co najmniej dwa lwy. Dziś na placu Magistrackim nie ma już lwów – pozostały na starych zdjęciach.

<http://dolny-slask.org.pl/959617.foto.html?idEntity=592477>

<http://dolny-slask.org.pl/5295882.foto.html?idEntity=592477>

<http://dolny-slask.org.pl/4976448.foto.html?idEntity=592477>

<http://dolny-slask.org.pl/958396.foto.html?idEntity=592477>

Nie ma też i dwóch lwów, które spoglądały pokojowo na przechodniów spacerujących lub spieszących się do pracy czy szkoły przy drodze między ul. Orzeszkowej a ul. Wincentego Pola, wiodącej na plac, na którym obecnie stoi kościół katolicki (dawniej ten obszar nosił nazwę placu Rewolucji Październikowej). Ślad po tych lwach też zaginął...

<http://dolny-slask.org.pl/963077,foto.html?idEntity=592477>

Historia obecności lwów w naszym mieście nie zawsze była wesoła. Były też lwy groźne i złe, to te pilnowały pomnika – monumentu. Na północnym stoku jednego ze wzgórz Niedźwiadków, pasma trzech gór, pod koniec lat 30-tych XX wieku wybudowano mauzoleum. Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że w górach tych przed wiekami miały swój matecznik niedźwiedzie. I z nimi związana jest wspomniana wcześniej legenda o Henryku. Tak wracamy do opowieści o miejscu, od którego rozpoczęliśmy – to właśnie u podnóża Niedźwiadków stoi posępna ruina. Mauzoleum wybudowane jako pomnik "dumy, potęgi i chwały", miało upamiętniać 177 000 Ślązaków poległych w czasie I wojny światowej oraz ponad 20 śląskich nazistów, którzy zginęli w czasie służby i w pracy. Przed II wojną światową odbywały się tu manifestacje nazistowskie.

Sama budowla wykonana była z piaskowca i kamieni zwiezionych z różnych stron Niemiec. Jej pozostałości widoczne są do dziś na stoku wzgórza, z którego rozciąga się piękny widok na pobliskie okolice. Monument w kształcie czworoboku zamkniętego od zewnątrz, od wewnątrz miał dziedziniec, otoczony kolumnadą, pośrodku którego stała metalowa kolumna, a na jej wierzchołku palił się wieczny ogień. W nocy „pochodnia” ta widoczna była z najdalszych części miasta. Właśnie tego miejsca „strzegły” cztery lwy z otwartymi paszczami, stojące u dołu kolumny.

Znana była też inna nazwa mauzoleum: Totenburg, czyli Miasto Umarłych, która lepiej pasuje do tego miejsca. Każdy, kto tamtędy przechodził, mijał mauzoleum z poważną i zatroskaną miną. W końcu jest to swego rodzaju grobowiec... Dziś po lwach pilnujących wiecznego ognia nie ma śladu.

Po zakończeniu II wojny światowej mauzoleum zostało zniszczone. Od tego czasu ulega dalszej dewastacji.

<http://dolny-slask.org.pl/3463994,foto.html?idEntity=535784>

Czy to już wszystkie historie związane z lwami w Wałbrzychu? Chyba nie, bo po II wojnie światowej do naszego miasta przybyli, z różnych stron Europy, nowi mieszkańcy. Jedną z pierwszych grup, która tu zamieszkała, byli Polacy przesiedleni z Kresów Wschodnich, między innymi z województwa lwowskiego. To oni po wojnie znaleźli tu swój dom. Wśród nich są też rodowici lwowiacy, czyli mieszkańcy Lwowa. Dużego miasta, którego nazwa też wywodzi się od lwa – króla zwierząt. Współcześni potomkowie lwowiaków od czasu do czasu odwiedzają to miasto – swoje rodzinne strony. Przywożą ze sobą zdjęcia i wspomnienia. I może także pamięć o lwowskich lwach, których dzieje też były burzliwe.

Pamięć o rodzinnych stronach, które musieli opuścić, lwowiacy zapisali w nazwach ulic, np. Drohobycka, Jachimowicza, Kresowa, Poleska, Pohulanka, Truskawiecka... Ale to już zupełnie inna historia.

A ile było lwów w Wałbrzychu? Czy ktoś je policzył? Kto je znajdzie lub ich ślady?

Pracowałam w bibliotece i byłam pierwszą kierowniczką unikalnego jak na owe czasy działu w bibliotece publicznej – pracowni regionalnej. Od dziecka interesowałam się historią miasta, w którym się urodziłam, wychowałam, uczyłam, pracowałam, a nawet działałam w opozycji... Teraz zajmuję się działalnością społeczną, gdyż jako wolontariuszka prowadzę fundację zajmującą się dziedzictwem kulturowym regionu.

Elżbieta Kwiatkowska-Wyrwisz

Legenda o wałbrzyskiej kapliczce Maryjnej

Opis. *To druga, inna nieco wersja legendy o cudownym uzdrowieniu.*

Opowiada Alicja Mikołajczyk

Pośród borów głębokich, pośród lasów wysokich,
Gdzieś nad brzegiem strumyka, co przez skały pomyka
Stała chatka uboga, zapomniana przez Boga.
Wokół drzewa szumiały i ptaszęta śpiewały,
Słońko jasne promienie słało co dnia na ziemię,
A na leśnej polanie rosły smardze i kanie.
W owej chatce mieszkała Hanka, co owdowiała.
Wiodła żywot samotnie, spoglądając markotnie.
Dnia każdego o brzasku, w słońca ciepłe i blasku
Szła z konwiami parowem do strumienia po wodę.
Przybiegały do Hanny i jelenie, i sarny,
I figlarne zające, co kicały po łące.
Gdy któregoś poranka znów do źródła szła Hanka
Usłyszała stłumiony jakiś głos, przyciszony.
Ktoś zawołał: „Ratunku!” Poszła więc w tym kierunku.
Gdy na miejsce przybyła, chłopca wnet zobaczyła.
Leżał tam krwią zbroczony, blady i przestraszony.
Cicho szepnął do Hani, że go jeleni poranił.
Rzekła: „Leż tu w spokoju, ja pobiegnę do źródła,
Wody w konwiach przyniosę, blade usta ci zroszę

Twoją ranę przemyję – jeszcze długo pożyjesz”.

I pobiegła od niego do źródelka leśnego,
W konwie wody nabrała i czym prędzej wracała,
A modliła się z mocą, żeby zdążyć z pomocą.
Gdy na miejsce przybyła, ranę chłopcu przemyła,
Lecz gdy rany dotyka, ta się zaraz zamyka.
Hanna zdumiona rzecze: „Z rany krew już nie ciecze!”
Czy to woda źródłana tak sprawiła, że rana,
Chociaż była głęboka, goi się w mgnieniu oka?
Czy to cud był prawdziwy, że młodzieniec jest żywy?
Wolno oczy otwiera, na dziewczynę spoziera,
A po chwili powstaje, Hance rękę podaje
I już bólu nie czuje, i z radością dziękuje.
Wdzięczny swej wybawczyni, propozycję tę czyni,
Aby obok strumyczka wkrótce stała kapliczka.

Alicja Mikołajczyk

Duch kupca

Streszczenie. *Dawno, dawno temu jeden z biednych tkaczy szedł ze Szwajcarskiej Doliny przez Niedźwiadki na targ do Wałbrzycha. W tamtych czasach kupcy sukiennicy nie traktowali tkaczy dobrze i często płacili im nędzne grosze, a sami zyskiwali krocie na ich wyrobach. Tkacz ów był bardzo zdziwiony, widząc na przydrożnym kamieniu jednego z owych kupców, których spodziewał się zastać w mieście. Ten skinął na niego, obejrzał jego towar i ręką wskazał mu drogę do miasta. W Wałbrzychu tkacz dowiedział się, że kupiec ten zmarł poprzedniego dnia. Kiedy ze zgrozą opowiedział, co mu się przydarzyło, usłyszał podobne historie od innych tkaczy, którzy szli tamtą drogą. Duch ukazywał się na rozstajach jeszcze długo, a potem ponoć jakiś mędrzec zamienił go w trzmiela i jeszcze przez wiele lat po tych wydarzeniach wędrujący tkacze, kiedy krążył dookoła nich trzmiel, myśleli z obawą o duchu kupca.*

Opowiada Alicja Mikołajczyk

Dawno, dawno temu

Płótnem obciążony

Szedł przez las Antoni -

Biedny tkacz zmęczony.

Nie bał się ni zbójców,

Ni dzikiego zwierza.

Ze swoim towarem

Do Wałbrzycha zmierzał.

Czy sprzeda swe płótno,

Antoni się biedzi.

Patrzy – na kamieniu

Stary kupiec siedzi.

Podszedł więc do starca,

By odsapnąć chwilę,

By jadła przekąsić

I czas spędzić mile.
Biedny tkacz kupcowi
Dał chleba przaśnego,
Bo choć biedę klepał,
Był serca dobrego.
Kupiec był milczący -
Słowa nie powiedział,
Lecz pykając fajkę
Na kamieniu siedział.
Antoni odpoczął,
Po czym ruszył w drogę,
By na jarmark zdążyć
Tuż przed słońca wschodem.
Gdy przybył do miasta,
Prawili mu tkacze,
Że po śmierci kupca
Dziś rodzina płacze.
Gadali, że wczoraj
Około południa
Ciało tego kupca
Pochłonęła studnia.
Antoni był wielce
Tą wieścią zdziwiony:
Wszak dzisiaj go widział!
Skąd więc płacze żony?

Czy miał do czynienia
Z duchem tego kupca?
Nikommu nic nie rzekł,
By nie wyjść na głupca.
Wrócił więc do domu
I padł snem zmożony.
Rano o snach swoich
Tak mówił do żony:
Odwiedził go kupiec,
Dziękował mu wielce
Za chleba kawałek
I za dobre serce.
Koniec opowieści
O Antonim – tkaczu,
Co od dnia owego
Lepsze życie zaczął.
Z handlem się darzyło,
Jak wieść niesie o nim.
Dobry duch kupiecki
Czuwał nad Antonim.

Alicja Mikołajczyk

O odważnym Henryku

Opis. *To rozbudowana wersja legendy z zamku Nowy Dwór, która została wykorzystana wcześniej jako punkt wyjścia w tekście „O wałbrzyskich lwach i niedźwiedziach”.*

Opowiada Alicja Mikołajczyk

Przed bardzo wielu laty, w czasach, których nikt już dzisiaj nie pamięta, na Zamkowej Górze, wśród lasów wokół dzisiejszego Wałbrzycha wybudowano zamek i nazwano go Nowym Dworem. Przejeżdżający kupcy już z daleka widzieli jego wysokie wieże. Zamek ten wybudowali piastowscy książęta, ale w czasach, o których chcę wam opowiedzieć, mieszkał w nim zamożny ród Czettritzów. Jego członkowie opowiadali o swych słowiańskich korzeniach, ale ile w tym było prawdy, nikt nie wie. To tylko było pewne, że to ród bardzo stary, bo już pod Grunwaldem walczył jeden z przodków, niejaki Herman Czettritz, czym się szczycono. Mniej chętnie opowiadano o tym, że ów Herman złupił klasztor w Krzeszowie, a inny Czettritz trudnił się przede wszystkim napadami na kupców i doszczętnym ich okradaniem. Po jakimś czasie Czettritzowie jednak ustatkowali się i o ich grzeszkach sprzed lat zapomniano.

Jeden z przedstawicieli rodu, właściciel Nowego Dworu, miał żonę precudnej urody i dwoje równie urodziwych dzieci: syna Henryka i córkę Luizę. Chłopiec dorastał wśród kochającej rodziny, lubiany przez służbę i podziwiany przez młodszą siostrę. Zachwycała ją odwaga brata, który nie jeden raz dał dowód na to, że nie lęka się niczego. Lata mijały i Henryk wyrósł na pięknego młodzieńca. Miał zaledwie 15 lat, ale w tamtych czasach był to już wiek niemal dojrzały.

Pewnego dnia zszedł do zamkowej kuchni po swoje ulubione słodkości – marcepanowe ciasteczka. Kucharka właśnie wyjmowała z czeluści zamkowego pieca ich świeżą porcję. Ich zapach roznosił się daleko poza pomieszczenie kuchenne, bo wkrótce zwabił tu i Lu, jak Luizę nazywał Henryk. Rodzeństwo zasiadło za kuchennym stołem i wkrótce stanął przed nimi talerz pełen ulubionych ciasteczek. Kucharka nalała im po kubku świeżego mleka i młodzi Czettritzowie poczuli się jak w raju. Uwielbiali bowiem przesiadywać w kuchni, bo zawsze dostawali tam jakieś smaczne kąski, a przy okazji mogli się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy o okolicznych mieszkańcach i wydarzeniach, w których z różnych względów nie mogli uczestniczyć.

Tego dnia, podczas ich biesiadowania, przyszli z lasu dwaj wieśniacy, najęci przez ich ojca do prac leśnych. Byli bardzo zdenerwowani. Powiedzieli kucharce o drapieżcy, który czyni w lesie wiele szkody. Henryka zaintrygowały ich wynurzenia i wypytywał o szczegóły. Wieśniacy usiedli do posiłku i jeden z nich zaczął snuć opowieść o groźnym niedźwiedziu, który od dłuższego czasu sieje spustoszenie wśród leśnej zwierzyny. Przynieśli właśnie do zamkowej spiżarni kilka zajęcy i młodą sarnę, które były ofiarami drapieżnika. Zwierzę było ponoć tak sprytnie, że unikało każdej zastawionej na niego zasadzki. Tylko po pozostawionych przez niego śladach myśliwi zorientowali się, że to musi być niedźwiedź.

Henryk słuchał opowieści z wypiekami na twarzy. Kiedy wieczorem udał się na spoczynek, długo nie mógł zasnąć, obmyślając różne sposoby na pokonanie tego groźnego i potężnego zwierzęcia. Dni mijały, a Henryk wciąż nie miał żadnego pomysłu, jak uwolnić okolicę od niedźwiedzia. O swoich planach nikomu nie mówił, ale jego mądra siostrzyczka Lu, obserwująca od paru dni zatroskaną minę brata, zrozumiała, co Henrykowi spędza sen z oczu. Bała się o niego, bo podejrzewała, że sam będzie chciał pokonać to groźne zwierzę. Jej obawy się potwierdziły.

Pewnego dnia po kolacji zauważyła brak trzech oszczepów na jednej ze ścian pokoju myśliwskiego, przez który przechodziła. Poczuli, że wkrótce może się wydarzyć coś, czego się lękała od wielu dni. Gdy nocą usłyszała szmer dochodzący z komnaty brata, uchyliła drzwi i obserwowała długi korytarz. Po chwili zauważyła Henryka skradającego się na palcach w kierunku ledwie oświetlonych łuczycami schodów. W dłoni trzymał trzy oszczepy – te same, które zniknęły ze ściany. Zastanawiała się, co począć, podczas gdy Henryk pod osłoną nocy opuszczał zamek. Nie bacząc na ciemny korytarz, prowadzący do sypialni rodziców, pobiegła nim, by powiadomić o niebezpieczeństwie, jakie groziło jej ukochanemu bratu. Powiedziała rodzicom o zasłyszanej w kuchni opowieści, o wciąż zamysłonej twarzy Henryka, zniknięciu oszczepów i błagała, by pospieszyli mu z pomocą.

Zaniepokojony Wilhelm Czettritz natychmiast zwołał służbę, strażę, kazał osiodłać konie i wraz z załogą zamkową wyruszył do lasu. Stary stajenny zdążył go jeszcze powiadomić, że jeden z boksów jest pusty. Znaczyło to tylko jedno – młody Czettritz wziął najszybszego konia i na nim pojechał na spotkanie z drapieżcą. Nie wiadomo było, którądy Henryk udał się do lasu, ten bowiem rozciągał się na olbrzymiej przestrzeni. Poza tym było jeszcze zbyt ciemno, by zobaczyć w oddali sylwetkę młodego jeźdźca. Właściciel zamku rozkazał strażom rozproszyć się, licząc na to, że któraś z grup trafi na ślad jego syna.

Tymczasem chłopiec dotarł na miejsce. Powoli dniało. Henryk postanowił zostawić swego rączego konia na skraju lasu w nadziei, że niedźwiedź woli miejsca mniej dostępne. Przywiązał zwierzę do jednego z drzew i skradając się niemal bezszelestnie ruszył w gęstwinę, pokonując leśne wykroty. Szedł już dłuższą chwilę, gdy usłyszał gniewne pomruki. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nie był pewien, skąd dochodzą te odgłosy. Przycupnął za jednym z drzew w kępie krzewów i cierpliwie czekał na dalszy rozwój wypadków. Pomruki stawały się coraz głośniejsze, a chwilę potem dał się słyszeć szelest liści.

Henryk przeczuwał, że zbliża się niedźwiedź i miał nadzieję, że uda mu się go pokonać. Dotychczas kilku śmiazków próbowało dokonać tego czynu. Dwaj zginęli w starciu z drapieżcą, reszcie udało się przed nim uciec. Teraz miał się z nim zmierzyć kilkunastoletni chłopiec. Henryk wciąż był ukryty za drzewem. Siedział tam tak cicho, że mógł usłyszeć własne myśli. W pewnej chwili wstrzymał oddech.

W prześwicie między drzewami coś zamajaczyło, zbliżając się w jego kierunku. Pomruki stawały się coraz głośniejsze i groźniejsze, aż w końcu zmieniły się w ryk. Było już zupełnie jasno i Henrykowi zaczęła się coraz wyraźniej rysować sylwetka wielkiej, zwalistej bestii. Wyraźnie zbliżała się do ukrytego chłopca, sapiąc i porykując. Henryk nie był widoczny, ale z pewnością zwierzę wyczuło jego zapach.

Chłopiec ścisnął mocno oszczepy w dłoni i czekał. Gdy niedźwiedź był już blisko, wybiegł z ukrycia i ruszył w jego stronę, unosząc pierwszy oszczep. Zwierz na chwilę przystanęło i zaryczało tak głośno, że zdawało się, iż zadrżał las. Henryk sądził, że przebiję go

na wylot już za pierwszym zamachem, ale oszczep ledwie drasnął to wielkie cielsko. Rozjuszony zwierzę rzuciło się do ataku, błyszczące ślepią już pewnie widziały rozszarpane ciało młodzieńca. Ten jednak był zwinny i wykonał unik, przymierzając się do kolejnego rzutu.

W tym samym momencie doszło do uszu Henryka ujadanie psów. Niedźwiedź odwrócił się i zaryczał w tamtym kierunku, jak gdyby chciał odstraszyć swym groźnym głosem tych, którzy się zbliżali. Tę chwilę nieuwagi wykorzystał chłopak i zaatakował zwierzę po raz kolejny. Drugi rzut oszczepem był bardziej skuteczny. Niedźwiedź zaryczał jak oszalały i próbował swym wielkim łapskiem sięgnąć drobnego ciała napastnika, lecz ten cisnął ostatni oszczep z taką siłą, że powalił go na ziemię, a z zadanej rany zaczęła się toczyć posoka.

Nie wiadomo, jak by się skończyła ta walka, gdyby w porę nie nadeszła pomoc. Strażnik zamkowy oddał do zwierzęcia dwa celne strzały z kuszy, po których niedźwiedź już się nie podniósł. Martwe zwierzę zostało przewiezione do zamkowych piwnic, a jego wyprawiona skóra zdobiła przez długie lata zamkowy salon myśliwski, przypominając o bohaterskim, choć bardzo nierozważnym czynie późniejszego pana na zamku Nowy Dwór. O tę nierozwagę rodzice czynili mu po jego powrocie gorzkie wyrzuty, bo zapewne by zginął, gdyby nie przecucia jego małej siostrzyczki.

Henryk po śmierci ojca przez długie lata władał na Zamkowej Górze, a o jego odwadze okoliczni mieszkańcy śpiewali pieśni. Na pamiątkę zaś opisanego wyżej wydarzenia leżącą w pobliżu zamku dolinę nazwano Doliną Henryka.

W Wałbrzychu mieszkam prawie czterdzieści lat. Z zawodu jestem położną i choć od czternastu lat jestem na emeryturze, wciąż pracuję, uczę się i działam społecznie. Mam jeszcze inne pasje, choćby ręczne robótki i fotografię. Próbuję pisać wiersze i choć nie zawsze mi się to udaje, to jednak bardzo się staram. Lubię czytać, śpiewać i słuchać muzyki. Nie lubię zimy i cwaniactwa.

Alicja Mikołajczyk

O wiernej Inez

Streszczenie. Rycerz z rodu Schaffgotschów lub Czettritzów, pan zamku Nowy Dwór, wyruszył z królem na wyprawę krzyżową i słuch po nim zaginął. Kiedy po latach wrócili inni rycerze, stało się jasne, że musiał zginąć, ale jego żona, jak wierna Penelopa, wciąż odmawiała swojej ręki innym zalotnikom. W końcu uległa perswazjom rodziny i wybrała pewnego rycerza o imieniu Hugo von Gleichen. W dniu ślubu była bardzo smutna, a w zamku pojawił się obdarty wędrowiec, którego kazała ugościć w zamkowej kuchni. Kiedy miała spełnić toast weselny, coś zabrzęczało w kielichu – wstrząśnięta dama znalazła na dnie ślubny pierścień swego męża. Okazało się, że wrzucił go wędrowiec, po czym pani rozpoznała w nim małżonka, zapanowała wielka radość, a po pewnym czasie jej niedoszły drugi mąż poślubił jej najstarszą córkę.

Z zamkiem na Podgórzu jest też związana inna legenda o wiernej żonie, również przywodząca na myśl wątki antyczne – kończyło się już oblężenie, zamek musiał się poddać i nieprzyjaciele pozwolili jego pani opuścić go z dziećmi i tym, co było dla niej najcenniejsze. I oto dama wyszła, niosąc wraz z dziećmi dużą chlebową dzięzę okrytą swymi sukniami. Nikt się nie zorientował, że wynosi w niej swojego męża.

Egzotyczne imię Inez stanowi rzecz jasna pomysł Autorki.

Opowiada Janina Mikołajek

Działo się to dawno temu, w okresie wypraw krzyżowych, nie za górami i lasami, ale na tej przepięknej ziemi, gdzie my obecnie mieszkamy. Wśród większych i mniejszych wzgórz porośniętych świerkowymi i bukowymi lasami rozpościerały się łąny zboża i lnu, które uprawiali rolnicy.

Na jednym z tych wzgórz wznosił się okazały zamek rycerski Nowy Dwór. Rezydował w nim sławny rycerz Bogumił ze swą młodą i piękną małżonką Inez, której rodzina przybyła na Śląsk z dalekiej Hiszpanii. Lud szanował swego pana za jego mądrość i dobroć, którą okazywał poddanym. Wszyscy kochali Inez, bo dbała nie tylko o swego męża, ale także pomagała kobietom i dzieciom, kiedy zwracały się do niej w trudnych chwilach.

Pewnego późnego grudniowego wieczoru Inez urodziła śliczną córeczkę. Radość na zamku była ogromna. Bogumił, wpatrzony w córeczkę i żonę, był bardzo szczęśliwy. Z tej okazji przychodzili poddani z życzeniami i prezentami. Były to piękne białe haftowane pieluszki, koszulki, kocyki z najcieńszego i najbielszego lnu i wełny.

Z okazji urodzin córki i jej chrztu rycerz zaprosił ludność na zamek, aby każdego ugościć i podzielić się z każdym chlebem. Wszak narodziny pierworodnej córki Marianny zbiegły się z wigilią narodzin Chrystusa.

Szczęście jednak nie trwało długo, gdyż na wiosnę Bogumił musiał wyruszyć ze swoją drużyną na wyprawę wojenną. Inez płakała na myśl o rozstaniu z ukochanym. Co dzień modliła się o błogosławieństwo dla męża.

Bogumił odjechał w dalekie strony, ale nie opuszczała go myśl, że powróci do żony cały i zdrowy, gdyż na jego piersi wisiał cudowny medalik, który dała mu jako ochronę. Przynęła mu, że będzie czekać na niego wraz z Marianną, największym ich skarbem, którego będzie strzec jak żrenicy oka.

Minęło lato, jesień i zima. Marianna skończyła roczek. Była ślicznym dzieckiem, ogromną radością swojej mamy, z uśmiechem witała każdy dzień. Pomimo radości z córeczki Inez z troską myślała o Bogumile, który nie wracał. Tęskniła za nim coraz bardziej. Opowiadała Mariannie o dzielnym ojcu, zapewniała z wiarą, że wróci pewnego dnia.

Mijały kolejne lata. Marianna wyrosła na dobrą, śliczną dziewczynkę. Inez codziennie modliła się o powrót męża i odrzucała propozycje rodziny, która chciała wydać ją ponownie za mąż. Wciąż kochała Bogumiła i miała nadzieję, że jednak kiedyś wróci. Wracali wszak z wypraw różni rycerze, lecz nikt z nich nie słyszał o Bogumile. Pewien rycerz, także z księstwa świdnicko-jaworskiego, widział go ciężko rannego na polu bitwy, lecz, że sam trafił do niewoli, nie miał możliwości, by mu pomóc.

Lista starających się o rękę Inez była długa. Rodzina wręcz zmuszała ją, by przyjęła oświadczyny pewnego bogatego kupca, a wraz z nim jego bogactwo – len i stada koni. Kupiec ów obiecał odnowić zamek, który na skutek zaniedbania i grabieży podupadł. Inez z wielkim żalem i smutkiem w sercu zgodziła się oddać swoją rękę kupcowi. Na zamku rozpoczęły się przygotowania do wesela. Gdy do komnaty przyniesiono suknię ślubną, panna młoda ze łzami w oczach powiedziała, że nie może jej włożyć i ślubować człowiekowi, którego nie kocha.

W tym samym czasie do wrót zamkowych zapukał wędrowiec, znużony, obdarty i brudny. Oczywiście były jednak pogodne. Prosił o wodę i kawałek chleba. Służba zaprowadziła go do zamkowej kuchni, z której roznosiły się przeróżne zapachy. Były to zapachy potraw weselnych.

Wtedy do kuchni weszła Marianna, która miała już 10 lat. Popatrzyła bystrymi oczami na wędrowca i zamarła, bowiem na jego szyi zobaczyła piękny złoty medalik, a na palcu pierścień, którego wygląd znała z opowieści matki. Bez słowa odwróciła się i popędziła do Inez, która, na nalegania swoich rodziców, już założyła ślubną suknię. Powiedziała matce o dziwnym gościu. Obie czym prędzej pobiegly do kuchni. Oczom swym nie wierząc niedoszła panna młoda rzuciła się w ramiona wędrowca, bo natychmiast poznała go po klejnotach. Był to jej zaginiony mąż Bogumił. Wojna sprawiła, że stracił pamięć, ale mapa w sercu doprowadziła go do ukochanych – żony i córki.

Wiele lat potem, pewnego letniego dnia, Inez zauważyła, że w kierunku zamku nadjeżdża duży zbrojny oddział. Poznała rycerzy rabusiów, którzy grasowali po okolicach i grabili zamki i wsie, a jej męża nienawidzili, ponieważ wiele razy stawiał im czoła. Wiedziała, że mogą chcieć zemsty i że zamek, ze zbyt małą załogą, nie będzie w stanie długo się bronić. Herszt oddziału, widząc ją na murach, zawołał, że pozwoli jej zabrać dzieci i to, co jest dla niej najcenniejsze i odejść, jeśli zamek się podda. Jeśli nie, zdobędą go i wszystkich wytną.

Inez zgodziła się i wkrótce wyszła główną bramą wraz z młodą Marianną i dwoma synkami, którzy urodzili się już po powrocie Bogumiła. Wszyscy z wysiłkiem nieśli dużą dziezę do wyrabiania chleba, nakrytą kosztowną chustą i wkrótce zniknęli w lesie. Zbójcy

wpadli do zamku szukając jego pana, ale go nie znaleźli. Gdy się domyślili, co się stało, herszt zakazał im ścigać Inez. Sam przecież dał jej słowo, że może zabrać to, co dla niej najcenniejsze... a miał jeszcze resztki rycerskiego honoru.

A co było dalej ? Jak w każdej bajce – małżonkowie wraz z dziećmi żyli długo i szczęśliwie.

Dodatek: Krótka baśń o Zuli i Wzgórzu Gedymina

Streszczenie. *Ta historia to wyjątek w niniejszej antologii, przykład inwencji twórczej dwóch autorek, babci i wnuczki, jednak z jeziorkiem na wzgórzu rzeczywiście jest związana bardzo smutna historia, którą przytacza Krzysztof Kułaga w Przewodniku po Ziemi Wałbrzyskiej (wyd. Alkazar, Opole 2007). Według niej u stóp Wzgórza Gedymina, noszącego kiedyś nazwę Wzgórza Tkaczy znajdowała się osada, w której mieszkali Walenty i Matylda. Zakochani w sobie, wkrótce mieli się pobrać, a Walenty wybrał się w lasy porastające wzgórze, by upolować coś na ucztę weselną. Niestety, nie wrócił, a nieszczęsna narzeczona długo szukała go po lasach, aż znalazła na miejscu zwanym Polaną Tkaczy jego ciało, poszarpane przez dzikie zwierzęta. Zrozpaczona Matylda szlochała tak bardzo, że z jej łez powstało jeziorko, które istnieje do dziś. Pękło jej serce i umarła przy zwłokach swego ukochanego. Każdego roku w rocznicę tego wydarzenia jej duch w postaci kobiety w bieli wylania się z wody i nawołuje Walentego, a kiedy zawieje wiatr, w szumie drzew można usłyszeć jego głos, odpowiadający na jej wołanie.*

Opowiadają Janina Mikołajek i wnuczka Karina

Czy wierzyć w baśnie? Ponoć każda z nich zawiera ziarnko prawdy. Ponoć. Nie wszystko jednak musi być pewne. Ważne, żeby poruszało. Tak było i w tym przypadku.

Jak to zdarza się w innych wzruszających historiach, tak i w tej rzecz działa się za siedmioma górami – Wałbrzyskimi. Lasów także nie zabrakło. W czasach, kiedy pozornie nie było niczego, choć tak naprawdę było bardzo wiele, piękne zielone wzgórze zamieszkiwała biedna rodzina. W małej chatce o bielonych ścianach mieszkała mała Zula, które dzielnie pomagała rodzicom w uprawie lnu. Ponieważ len był łatwy w uprawie i jego przędzeniem oraz tkaniem zajmowano się zarówno w miastach jak i na wsi, rodzina wiodła bardzo skromne życie. Ich historia przepelniona była jednak miłością.

Gdy Zula miała 5 lat, do miasta przybyła brudna, zgarbiona staruszka niosąca w dziurawej chuście małego chłopca. Bez słowa wyjaśnienia porzuciła malca przed drzwiami chatki rodziców Zuli. Mimo wielu kłopotów i choroby ojca, rodzina przyjęła pod swój dach chłopczyka i od tego momentu Radzimir stał się częścią ich życia.

Dzieci dorastały w radości ze wspólnej zabawy. Z czasem jednak zaczęło pojawiać się między przyszywanym rodzeństwem napięcie. Zula nie rozumiała, dlaczego jej brat nie chce spędzać z nią tyle czasu, co do tej pory. Powód był jednak zwyczajny, prozaiczny. Chłopiec, dorastający z piękną dziewczyną, nie mógł poradzić sobie ze swoimi uczuciami do niej, bo choć wychowywała się z nim jak siostra, była tak naprawdę obcą dziewczyną, którą Radzimir darzył wielką miłością.

Pewnego słonecznego dnia Zula wybrała się na spacer. Jej rozmyślenia nad utratą kontaktu z bratem zaprowadziły ją dalej niż zwykle. Ocknęła się dopiero, gdy zimna woda obmyła jej bosą stopę. Zdziwiona zauważyła przed sobą staw. Słońce odbijało się w krystalicznie czystej, białej wodzie. Zula zaskoczona była tym, że odbijające się w tafli wody

słońce może aż tak razić w oczy, gdy nagle ujrzała, że powodem błysku była złota rybka. Nikogo nie zdziwi więc, że rybka, jak każda złota w jej rodzinie, zaproponowała dziewczynie spełnienie jej trzech życzeń. Skromna nastolatka nie miała wielu marzeń, więc zaproponowała, że odda swoje dwa życzenia – jedno rodzicom, drugie bratu. Matka Zuli wybłagała u rybki zdrowie dla siebie i małżonka, by móc do późnej starości zajmować się rodziną. Brat natomiast przezornie odwlekał kontakt ze złoto-płetwą. Sama Zula zaś chciała zaznać tylko prawdziwej miłości ze strony mężczyzny i być tak szczęśliwa, jak szczęśliwi są jej rodzice. Rybka przystała na propozycję. Każda decyzja pociąga za sobą rozmaite skutki. O tym też przekonała się i Zula.

Kilka lat później nieopodal, w zamku Książ, organizowany był bal dla najznamienitszych gości z całej Europy. Suknie dla dam szyte były z najdroższych jedwabi. Także służba dostała nowe, czyste stroje. Najbielszy len sprowadzono między innymi od rodziców Zuli i Radzimira, gdyż krystaliczna woda i gorące promienie słoneczne zapewniały niemal najczystszy biel materiału. Kiedy dorosłe już niemal rodzeństwo dotarło z materiałem na zamek, obietnica złotej rybki zaczęła się spełniać.

Urzeczona piękną budowlą dziewczyna nie zauważyła przybyłego na zamek księcia, na którego z impetem wpadła... Tak, jak to bywa w pięknych historiach, Zula i Gedymin zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Mimo sprzeciwu ze strony rodziny książęcej para postanowiła być ze sobą do końca życia i przeciwstawić się wszelkim przeciwnościom losu.

Wesele było huczne i mówiliby się o nim długo. Niestety, nie każda historia kończy się dobrze. Zazdrosny o piękną dziewczynę Radzimir postanowił zniweczyć plany pary na wspólne życie. Przezorny młodzieniec pozostawił przecież sobie otwartą furtkę. Niezwłocznie wybrał się nad staw, gdzie siłą złowił złotą rybkę, która przeczując intencje Radzimira próbowała ukryć się przy samym dnie. Chłopiec był jednak dobrym pływakiem. Jego determinacja była ogromna, ponieważ kobieta, którą chciałby poślubić, wybrała innego. Nie mógł znieść tego, że musi patrzeć na szczęście Zuli i Gedymina, więc wypowiedział życzenie, wedle którego Gedymin musiał stracić życie.

Rybka nie miała wyjścia. Musiała spełnić życzenie młodzieńca. Tak też się stało... Gdy zakochany książę, chcąc uszczęśliwić swoją ukochaną, wybrał się nad staw, by zdobyć dla niej wyjątkowej urody lilię wodną, poślizgnął się na mulistym brzegu. Jego śmierć szczególnie dotknęła Zulę. Młoda, zakochana kobieta nie była w stanie unieść takiego cierpienia. W tym momencie wydawało jej się, że życie bez męża nie ma sensu. Powzięła więc plan, by połączyć się z nim w wieczności... Nad każdą dobrą duszą czuwa jednak Anioł. Szczególnie, gdy w grę wchodzi nienarodzone życie. Nieświadoma tego, że jest w ciąży, Zula postanowiła zakończyć swe życie w miejscu, w którym zginął jej mąż, gdy nagle, z każdym jej krokiem, staw zaczął wysychać. Tym razem to brak wody otrzeźwił młodą dziewczynę, która szlochając pobiegła do domu.

Wszystkiemu przyglądała się brudna, zgarbiona staruszka trzymająca w rękach tę samą dziurawą chustę. Miała wszak u rodziców Zuli dług wdzięczności.

Nazywam się Janina Mikołajek. W Wałbrzychu z moją rodziną mieszkam od 40 lat. Kocham bardzo córkę, wnuczkę i zięcia. Zawsze mogę na nich liczyć, a oni na mnie, zresztą mieszkamy

blisko siebie. Bardzo lubię czytać dobre książki, lubię dobry teatr i muzykę klasyczną, dlatego po przejściu na emeryturę co piątek chodzę na koncerty do filharmonii. Swoje pasje i zainteresowania rozwijam na Sudeckim Uniwersytecie Trzeciego Wieku, a także w mojej kochanej bibliotece. Jestem człowiekiem wiary i staram się żyć w zgodzie ze sobą i z innymi ludźmi, kochać ludzi, pomagać innym i czynić dobro.

Janina Mikołajek

Czarne złoto Wałbrzycha

Streszczenie. *Kilka wieków temu pewien chłopiec pilnował owiec na terenie dzisiejszego wałbrzyskiego Śródmieścia. Wypatrzył lisią norę i obserwował młode liski, a kiedy się schowały, zbliżył się, żeby zajrzeć do nory i zwrócił uwagę na błyszczące czarne kamienie porozrzucone dookoła. Pozbierał kilka z nich i zaniósł do domu, gdzie bawił się nimi. Kiedy zauważyła to jego matka, bardzo się rozłościła, bo uczernił sobie twarz i ubranie. Kazała mu natychmiast wyrzucić znalezisko, więc chłopiec wrzucił wszystko do ognia, który po chwili rozpalił się i zaczął mocno grzać. Zaintrygowani rodzice przynieśli więcej takich kamieni, potem za ich przykładem poszli sąsiedzi i po latach była już w miejscu owej lisiej nory pierwsza wałbrzyska kopalnia, nosząca nazwę „Fuchs”, czyli „Lis” (później Thorez, później Julia, a dziś znajduje się w tym samym miejscu muzeum przemysłu Stara Kopalnia). Do tej samej tradycji wydaje się nawiązywać nazwa słynnej Lisiej Sztolni.*

Opowiada Maria Widerowska

Dawno, dawno temu, jeszcze dawniej niż sięgają pamięcią najstarsi mieszkańcy, w Leśnym Grodzie, który teraz nazywa się Wałbrzych, w małym domku nad rzeką, mieszkał chłopiec o imieniu Hans.

Hans miał siostrę Helgę, małą dziewczynkę o jasnym spojrzeniu, miał mamę, która zajmowała się gospodarstwem domowym i miał tatę, który każdego ranka wychodził do lasu, ponieważ był drwalem. Ich mały domek znajdował się w cieniu wielkiej góry porośniętej gęstym lasem. To właśnie w tym lesie drwale wycinali stare drzewa i zwozili je do tartaku.

W ich niewielkim gospodarstwie były kury, kaczki, krowa i stado owiec, które każdego ranka Hans wyprowadzał na łąki w pobliżu wielkiej góry. Hans bardzo lubił swoje obowiązki. Gdy owce skubały górską trawę i pachnące zioła, siadał na pobliskim łązie, oglądał płynące obłoki, obserwował ptaki i marzył, że kiedyś wyruszy w daleki świat i będzie budował zamki.

Czasami chłopiec rozpalał ognisko i piekł przyniesione z domu jabłka. Zbudował też z gałęzi niewielki szałas, który chronił go przed deszczem, wiatrem, a często też przed palącym słońcem. Gdy wracał wieczorem do domu, czekała tam zawsze jego mała siostrzyczka, której musiał opowiedzieć o wszystkim, co widział w górach. O ptakach szybujących po niebie, o roślinach kwitnących w górach, o zajączku, co pokicał przez polanę i o sarenkach siedzących cichutko w zaroślach.

Helga słuchała z otwartą buzią i błyszczącymi oczami, i często pytała: - Kiedy, braciszku, zabierzesz mnie ze sobą? Tak bardzo bym chciała!

A Hans uśmiechał się tylko i odpowiadał: - Na pewno cię zabiorę, tylko trochę podrośnij.

A mama dodawała z uśmiechem: - Jak będziesz grzeczna i szybko urośniesz, to na pewno będziesz z Hansem wyprowadzała w góry nasze owieczki.

Któregoś dnia, gdy słońko przygrzewało leniwie, owieczki jak zwykle skubały w skupieniu trawę i zioła, a Hans śledził płynące po niebie obłoki, coś się nagle poruszyło za dużym głazem. Chłopiec bardzo się przestraszył i pomyślał, że to może wilk chce porwać którąś z owieczek. Zaczął uważnie obserwować ów głaz i postanowił odważnie bronić swojego stadka. Zza kamienia wychylił się najpierw nos, a za nim sterzące uszy. Po chwili Hans zobaczył następną nos i następne uszy.

Siedział cichutko, najciszej, jak tylko potrafił, aby nie spłoszyć intruzów. Wkrótce na trawę wyturlały się trzy puszyste kuleczki ze sterzącymi uszkami i puchatymi ogonkami. Były to małe liski, które, pchane swoją lisią ciekawością, pierwszy raz wyszły z nory, aby pod nieobecność lisicy pooglądać świat.

Liski były bardzo czujne i gdy tylko chłopiec się poruszył, uciekły do nory. Hans bardzo się ucieszył, że ma takie towarzystwo i codziennie zaczął je obserwować. Widział, jak rosną i jak coraz odważniej oddalają się od nory. Próbował nawet zajrzeć do lisiego mieszkania, ale bystre lisięta chowały się bardzo głęboko, a może miały jakieś inne wyjścia, o których Hans nie wiedział.

Wieczorami opowiadał małej Heldze o zaobserwowanych lisich zwyczajach, a ona słuchała i znowu prosiła, aby zabrał ją ze sobą w góry. - Zabrać cię nie mogę, ale przyniosę ci trochę kamieni z lisiej nory, jeśli liski mi pozwolą - odpowiadał jej brat.

Któregoś dnia lisica wyprowadziła swoje, już spore, dzieci z nory i zabrała je do lasu. Wówczas Hans obejrzał wejście do nory, zajrzał do środka najgłębiej, jak tylko mógł i obszedł cały pobliski teren.

Okazało się, że jest kilka wejść do lisiej nory, a przy jednym z nich leży dużo czarnych, lśniących kamieni. Przypomniawszy sobie, że obiecał przynieść siostrzyczce trochę kamieni z lisiej nory. Te będą najlepsze, pomyślał, są jakieś inne.

Takich kamieni Hans jeszcze nigdy nie widział. Gdy zaczął je zbierać, okazało się, że bardzo pobrudził sobie ręce, a niektóre z nich pokruszyły się na drobniejsze kawałki. Zauważył, że czarny kamień nie tylko brudzi ręce, ale także rysuje na białej skale.

Dziwne te kamienie, pomyślał. Kawałkiem czarnego kamienia zaczął rysować na skale. Kiepsko mu to szło, kreski były nierówne i zamek, który starał się narysować, był bardzo koślawy.

Chłopiec tak bardzo zajął się swoim odkryciem, że nie zauważył, jak czas szybko umknął. Słońce zaszło i zrobiło się zimno, a owce zaczęły żałośnie beczeć. Zupełnie, jakby wołały: my chcemy do domu! Hans szybko zebrał trochę tych dziwnych błyszczących kamieni, poupychał je do kieszeni i do torby, w której nosił jedzenie - i ruszył do domu.

- Dlaczego tak późno?! - przywitał go ojciec, który już dawno wrócił z pracy w lesie i niepokoił się o syna i owce. - Już myślałem, że stało się coś niedobrego tobie albo owcom!

Mała Helga podbiegła do brata i jak zwykle chciała się z nim przywitać, ale matka ją zatrzymała, widząc jak brudne ręce i ubranie ma syn. - Gdzieś ty się tak utyłał? - zapytała.

Wówczas Hans wysypał z torby czarne błyszczące kamienie i opowiedział o tym, że brudzą, że można nimi rysować i że są kruche. Postukał w jeden większy młotkiem, a ten rozpadł się na drobne kawałeczki wzniesając kurz.

Matka, zdenerwowana późnym powrotem syna do domu i jego brudnym ubraniem, powiedziała podniesionym głosem: - Wyrzuć to świństwo natychmiast! Najlepiej wrzucić do ognia, bo nie wiadomo, co to naprawdę jest! I umyj się! Tam jest woda, miska i mydło - wskazała. - A zrób to porządnie! Sprawdzę dokładnie. A ubranie za karę upierzesz sam! - dodała.

I oddaliła się, aby przygotować kolację dla całej rodziny. Hans bardzo posmutniał, myślał, że przyniósł do domu skarb, a tu spotyka go taka przykrość. Pochlipując i mrucząc po nosie, szorował szczotką ręce i prał zabrudzone ubranie.

Tymczasem kamienie, wrzucone do paleniska, zaczęły się rozgrzewać. Najpierw pojawił się nieśmiały płomień, a kamienie zaczęły się rozżarzać i robić coraz bardziej czerwone.

Nagle zaczęły strzelać iskry i płomienie stały się większe, a od ognia zaczął bić ogromny żar. Wszyscy stanęli zdziwieni, wystraszeni i przyglądali się temu nieznanemu zjawisku. Czary jakieś, na pewno.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby kamienie się paliły - odezwał się ojciec. Mała Helga schowała się za spódnicę mamy i zamknęła oczy. - Nie bój się, córeczko - powiedział ojciec i pogłaskał dziewczynkę po jasnej główce. - To są tylko kamienie.

Zaraz zaczął wypytywać syna o miejsce znaleziska. A Hans opowiedział ojcu o norze i wykopanych przez lisy czarnych błyszczących kamieniach. - No, no, to ci dopiero znalezisko - podsumował ojciec.

Rodzina długo siedziała przy rozgrzanym palenisku grzejąc dłonie, dopóki żar całkiem nie wygasł. - Jutro pójdziemy wszyscy i wykopimy więcej tych czarodziejskich kamieni - powiedział ojciec. - A teraz spać, bo trzeba wstać bardzo rano.

Rankiem cała rodzina wyszła w góry ze stadem owiec. Zabrali ze sobą jedzenie na cały dzień i dodatkowe worki na czarodziejskie kamienie. Najbardziej z rodzinnej wyprawy cieszyła się mała Helga, bo zawsze chciała iść z bratem w góry i pomagać mu przy pilnowaniu owiec.

Hans najpierw pokazał wszystkim lisią norę, a następnie zamek narysowany na skale. Helga była zachwycona. - Jak tu pięknie - wołała, biegając po łące i zbierając kwiatki. Hans pokazał jej gniazdo szpaków, ukryte w gęstwinie, wystrugał fujarkę z kawałka drewna i opowiadał o okolicznych górach.

Rodzice tymczasem wykopali dużo czarnych kamieni i zapakowali je do przyniesionych worków. Zabrali tyle, ile mogli unieść. Nawet mała Helga niosła z dumą mały woreczek.

Wieczorem mama przygotowała posiłek, wkładając do paleniska owe czarodziejskie kamienie. W domu zrobiło się ciepło i przyjemnie, kiedy wszyscy siedzieli wokół ciepłego po kolacji paleniska.

Ojciec wysłał syna do sąsiadów, aby przyszli zobaczyć kamienie, które się palą. Kiedy przyszli, zaczęli sobie żartować z gospodarza, bo przecież kamienie się nie palą. Gospodarz dorzucił garść kamieni do ognia i kiedy pojawił się płomień i iskry, niektórzy aż cofnęli się ze strachem w oczach.

Później rozpoczęła się dyskusja i podziwianie tego nowego dla wszystkich zjawiska. Kiedy gospodarz oznajmił wszystkim, że to jego syn odkrył owe kamienie, Hans poczuł się bardzo ważny, nie wiadomo, czy nie najważniejszy w całej osadzie. A ojciec patrzył na syna i był bardzo dumny.

Od tego czasu ludzie z osady zaczęli chodzić na okoliczne wzgórza i wykopywać spod ziemi czarne błyszczące kamienie, nazwane później węglem, a czasem nazywane też czarnym złotem.

Po tym odkryciu, po wielu latach, życie ludzi z osady bardzo się zmieniło. Ojciec Hansa zajął się wydobywaniem węgla i sprzedają do innych miejscowości. Mały Hans przestał wypasać owce, wyuczył się sztuki wydobywania węgla i razem z ojcem zostali pierwszymi górnikami.

Wiele lat później w miejscu znaleziska czarnych kamieni powstała pierwsza i najstarsza kopalnia w Wałbrzychu, kopalnia „Lis” i na pamiątkę tamtej historii najstarszą sztolnię nazwano „Lisią Sztolnią”.

Była to ciekawa i dziwna sztolnia, gdzie urobek wywożono na powierzchnię kanałem wodnym. Obecnie w Wałbrzychu nie ma już żadnej czynnej kopalni, a wejście do Lisiej Sztolni zarosło roślinnością.

Złoto Pełcznicy

Streszczenie. *Autor niemieckiego opracowania wałbrzyskich legend Wilhelm Reimann wspomina, że w rzece tej można znaleźć złoto lub zielone ziarna, które po kilku dniach mogą zamienić się w złote monety. Mówi o grobie młynarza i ścieżce złodziei tuż pod zamkiem Książ. Istnieje wiele wersji tej legendy, ale w każdej pojawia się banda zbójców, która planuje napad na zamkowy skarbiec. W niektórych wersjach jeden z nich wcześniej zatrudnia się w zamku, by nocą otworzyć furtę swym kamratom. Według jednych autorów podczas ucieczki zbójców z łupem przed pogonią rozpięta się gwałtowna burza, Pełcznica wezbrała, a spróchniały mostek zawalił się pod niosącymi ciężkie worki złoczyńcami, pochłaniając ich skarby, może także ich samych. Według innych, kiedy przekraczali w bród rzekę, pękły stawidła przy grobie młynarza, z takim samym rezultatem. Do dziś podobno złoto pojawia się w Pełcznicy w księżycowe noce, ale strzegą go duchy zbójców, czasem przyjmujące postać czarnych psów.*

Opowiada Maria Widerowska

Kiedyś, bardzo dawno temu, tak dawno, że dzisiaj trudno te lata policzyć, na Dolnym Śląsku świat wyglądał zupełnie inaczej. Mało było osad ludzkich, a w górach i lasach poza liczną wtedy zwierzyną, buszowali zbójnicy.

Bardzo niebezpiecznie było podróżować po dolnośląskich drogach. Aby ustrzec się przed rozbojem, bogaci mieszkańcy budowali obronne warownie i zamki. Niedaleko Wałbrzycha zbudowano wówczas duży warowny zamek, który dzisiaj nazywamy Książem.

Zamek stanął na wysokiej skale, otoczony wysokim murem i wkrótce stał się niedostępną twierdzą. W dole, tuż za obronnym wysokim wałem, płynęła niewielka rzeczka, która podczas ulewy i roztopów zamieniała się w groźny żywioł.

Przez wieki zamek przechodził w posiadanie kolejnych właścicieli, najczęściej dziedziczony przez ich synów lub zdobywany w czasie wojen. Wśród okolicznej ludności krążyły legendy i opowieści o ogromnych bogactwach znajdujących się w zamku. Opowiadano o skarbach ukrytych w podziemiach, o skrzyniach drogich kamieni, o workach pełnych złota.

Opowieści przekazywano z ust do ust i tak docierały one coraz dalej i dalej, aż dotarły do dolnośląskich rozbójników, którzy odtąd wiele razy usiłovali wykraść zamkowe skarby. Mimo prób nikomu nigdy się to nie udawało.

Starzy ludzie opowiadali, że, kiedy zamek budowano i położono pierwsze kamienie pod fundamenty, z lasu wyszła staruszka zbierająca zioła i grzyby. Mówiono o niej, że jest czarownicą i na wszelki wypadek omijano ją z daleka.

Staruszka popatrzyła na powstającą budowlę, pokiwała głową, pomruczała pod nosem i powiedziała: - Nikt w tym zamczysku nigdy nie będzie naprawdę szczęśliwy i nawet

zbójcom zrabowane tu skarby nie przyniosą szczęścia. Pomruczała, popatrzyła na zdziwionych budowniczych i odeszła do lasu, a ludzie o niej zapomnieli.

Zamek się rozrastał, kusił swoją wielkością i wspaniałością, a rozbójnicy patrzyli na niego z zazdrością. Wokół zamku powstało wiele małych osad, gdzie osiedlali się ludzie pracujący na ziemi swoich panów. W jednej z takich osad żyło i pracowało pięciu braci: Karl, Mateusz, Jorgen, Stefan i Hans. Rodzice ich umarli, kiedy chłopcy byli jeszcze mali, a oni nie mieli dokąd pójść i tak zostali w małej chatce, pracując na ziemi właściciela zamku.

Przez wiele lat cierpliwie znosili swój ciężki los, aż w końcu zbuntowali się, uciekli ze swojej wioski do pobliskich lasów i postanowili żyć z rozboju. Początkowo napadali na wozy kupieckie, okradali samotnych wędrowców i przydrożne karczmy. Rodzinnej szajce rozbójników przewodził najstarszy z braci, Karl.

Po kilku latach takiego życia zbójceki proceder znudził się braciom i zapragnęli żyć spokojnie we własnym wygodnym domu, a nie tułać się po lasach. Do swego dawnego domu wrócić już nie mogli, dlatego postanowili, że dokonają jeszcze jednego, dużego napadu, a z łupami uciekną daleko i zbudują sobie bezpieczne domostwo.

Najpotężniejszym i najbogatszym zamkiem w okolicy był Książ, o którego bogactwie krążyły opowieści w całej okolicy. Bracia ustalili szczegółowy plan działania, a najstarszy z nich rozdzielił zadania. - Do zamku główną bramą wejdzie Hans, razem z kupcami, którzy każdego ranka wnoszą swoje towary, a kiedy się ściemni, rzuci nam linę z murów od strony rzeki. Później przedostaniemy się do podziemi zamkowych, z których jest przejście do skarbcza, zabierzemy tyle złota i skarbów, ile zdołamy unieść - postanowił Karl.

- A jeśli złapią nas strażę? - zapytał Hans. - Nie martw się mały, Każdego, kto nam stanie na drodze, unieszkodlimy - zaśmiał się Karl.

Jak postanowili, tak zrobili. Najmłodszy z braci bez trudu wszedł do zamku główną bramą, z workiem marchwi, w której ukrył długą i mocną linę. Kiedy tylko się ściemniło, rzucił linę z zamkowego muru czekającym na dole braciom, a ci szybko znaleźli się w zamku. Zeszli do podziemi, związali strażników pilnujących kolejnych wejść i otworzyli drzwi skarbcza. Ich oczom ukazało się całe bogactwo, gromadzone przez kolejnych właścicieli. Od blasku bijącego od złota i migoczących się skarbów aż zmrúżyli oczy.

- Ile tego jest! zawołał Jorgen. - Tego nie da się wynieść nawet przez tydzień! - wtrącił Stefan. - Nie marudzić, tylko ładować! - groźnie krzyknął Karl i zaczął wyciągać z torby worki wniesione do zamku.

Każdy z braci załadował po dwa worki skarbów. - Jakie to ciężkie, nie wiem, czy dam radę unieść? - odezwał się najmłodszy, Hans. - Nie marudź, tylko ruszaj! Do świtu musimy opuścić zamek i skryć się w pobliskich lasach - rozkazał Karl.

Bracia zarzucili ciężkie worki na ramiona i ruszyli w kierunku bramy. Do tej pory wszystko szło im jak po maśle. Kiedy jednak zbliżyli się do dziedzińca zamkowego, na środku drogi zobaczyli ogromnego czarnego kota. Kot tylko siedział i wpatrywał się w rozbójników swoimi ogromnymi, żółtymi, błyszczącymi oczami. Mateusz, średni z braci, stanął jak wryty i wpatrywał się w kota.

- No co tak stoisz, ofermo! - krzyknął Karl i już chciał iść dalej, kiedy kot groźnie zasyczał. Wszyscy bracia stanęli, zdziwieni i wystraszeni, jak mali chłopcy. Kot zasyczał ponownie, a wtedy zerwał się silny wicher i niebo nagle pociemniało.

- Nie chodźmy tą drogą - odezwał się Jorgen. - Jest jeszcze droga przez mostki, nad urwiskiem, która prowadzi do starego zamku. Chodźmy tamtędy.

- Ale jesteście strachliwi - podsumował Karl. - Na dodatek przerażają was jakieś głupie przesady, ale jeśli wierzycie w te bzdury, to możemy pójść nad urwiskiem. Idziemy przez mostki, bierzcie worki.

I poszli. Starali się jak najciszej okrążyć zamek od strony urwiska. - Myślałem, że jesteście prawdziwymi rozbójnikami? - drwił Karl ze swoich braci.

Dotarli w końcu do urwiska i kolejno wchodzili na bardzo wąską ścieżkę. Kiedy byli już w połowie drogi, ponownie zerwał się silny wiatr i niebo się zachmurzyło. Szli bardzo wolno, obciążeni wyładowanymi workami.

- Wróćmy i oddajmy wszystko, co zrabowaliśmy - prosił najmłodszy. - Zróbmy to, dopóki nie jest za późno.

- Nie bądź głupim mięczakiem - odezwał się milczący do tej pory Mateusz. - Nie zachowuj się jak baba, jeszcze tylko kawałek i będziemy bezpieczni - dodał.

Ruszyli dalej po śliskiej, wąskiej skalnej ścieżce. Gdy dotarli do pierwszego mostka, wiszącego nad urwiskiem, burza rozszalała się na dobre i z nieba lunęła ściana wody. Bracia spojrzeli na siebie ze strachem w oczach, ale najstarszy wszedł już na mostek i ponagłał pozostałych.

- Szybciej guzdrały! - wołał. Za Karlem weszli kolejno wszyscy. Kiedy byli już na drewnianej platformie mostku, podmuch huraganowego wiatru zakołysał całą konstrukcją. Najmłodszy z braci zachwiał się i wypuścił swoje worki, które runęły do wezbranej Pełcznicy.

Bracia patrzyli z góry, jak skarby rozsypują się i wpadają do wody. - Ty ofermo! Trzeba było mocno trzymać - pokrzykiwał Karl. - Weź chociaż worek od brata - dodał.

Ostrożnie stąpając, doszli do następnego mostka. Wiatr i ulewa nie ustawały, utrudniając im wędrówkę. Kiedy wszyscy znaleźli się na ostatnim mostku i wydawało się, że wszystko, co najgorsze, mają już za sobą, jedna z podtrzymujących lin nagle się zerwała. Bracia razem z całą konstrukcją i workami pełnymi skarbów runęli w dół. Złoto rozsypało się jeszcze w powietrzu i leciało razem z deszczem do wezbranej i szybko płynącej rzeki. Inne skarby popłynęły z nurtem wody, a braci nigdy nie odnaleziono.

Wkrótce zaczęto opowiadać, że w jasne księżycowe noce z murów zamkowych widać w nurtach Pełcznicy połyskujące pomiędzy kamieniami złote monety. Nikomu jednak nigdy nie udało się znaleźć nawet najmniejszego złotego krążka. Starzy mieszkańcy okolic zamku opowiadają, że złota w Pełcznicy strzegą duchy pięciu braci i każdego, kto odważy się sięgnąć po nie, spotka kara.

Podobno duchy braci ukazują się w różnej postaci, ale zawsze jest ich pięciu. Spotkać ich można tylko nocą, kiedy jasno świecący księżyc oświetla wody Pełcznicy. Siedzą na brzegu rzeki i wpatrują się w wodę. Czasami, gdy noc jest cicha i bezchmurna, można nagle usłyszeć trzask urywającego się mostka.

Natomiast w nocy pochmurne i wietrzne wieczory można nad brzegiem Pełcznicy spotkać staruszkę, która w towarzystwie dziwnego kota przechadza się po lesie zbierając zioła i grzyby. Potrafi też doradzić chorym i starszym, jak dbać o zdrowie, a młodym, jak dbać o przyrodę.

Nazywam się Maria Widerowska. Moja wnuczka, gdy była malutka, mówiła na mnie babcia Mysia. Mam nadzieję, że dożyję czasu, gdy zostanę prababcią. Od kiedy pamiętam, lubiłam słuchać bajek. Kiedy byłam bardzo mała, na świecie i w Polsce szalała wojna. Nie można było wówczas kupić książeczek z bajkami dla dzieci, więc mama, babcia i wszystkie ciocie opowiadały mi różne historie. Opowiadały mi bajki, które pamiętały z dzieciństwa, lub same wymyślały. Te bajki były wyjątkowe, bo wymyślone tylko dla mnie. Bajki, które napisałam, są tylko dla Was i mam nadzieję, że będą się podobały.

Dodatek 2: Zaczarowane kamienie – albo Kto był pierwszym górnikiem w Wałbrzychu?

Opis. *Poniżej tekst spektaklu, w którym oprócz trzech słuchaczek Sudeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku na deskach sceny w Centrum Nauki i Sztuki Stara Kopalnia i podczas festynu z okazji Dnia Dziecka w swoim przedszkolu wystąpiły dzieci z Integracyjnego Przedszkola Samorządowego nr 17 z Oddziałami Specjalnymi. W rolach narratorek wystąpiły Maria Krajewska i Alicja Mikołajczyk, w role Lisicy i Sąsiadki wcieliła się Elżbieta Sejda, a pomocą służyły niezastąpione panie nauczycielki: Joanna Topolewska, która zagrała Mamę i przygotowała choreografię tańca Lisków oraz Joanna Zawisza-Smejlis. Ze względu na wiek dzieci – była to grupa czterolatek – w roli głównego bohatera obsadzono dwóch chłopców, stąd bliźniacy Janek, którego zagrał Marcin – i Jasiek, zagrany przez Maćka. Jako Liski zatańczyli wspaniale i w rolach Ogników wystąpili: Sara, Ola, Laura, Zuzia, Maja, Weronika, Natasza, Karolina i Dominik.*

Występują:

Dorośli: dwie Narratorki, Sąsiadka, Mama, Lisica (Mamę i Lisicę lub Sąsiadkę i Lisicę może grać jedna osoba)

Dzieci: Janek i Jasiek, Liski, Ogniki

Scenografia: *Na scenie pośrodku znajduje się przestrzeń, gdzie poustawiane są figury lub rysunki owiec, po prawej stronie zasłonięte miejsce, gdzie będą się chowały Lisy („lisia nora” – może to być też za kulisami), po lewej stronie ogień i ławki z naczyniami obok niego symbolizując dom. Ogień zagrają dzieci, które będą grać Liski. Na środku sceny bliżej „nory” leżą czarne kamyczki i kawałki węgla do rysowania.*

Pierwsza Narratorka: Dawno, dawno temu, w miejscowości, która jeszcze nie wiedziała, że kiedyś będzie Wałbrzychem, mieszkali sobie mali bliźniacy – Janek i Jasiek.

Wchodzą Janek i Jasiek, mogą mieć kijki i ubrania pastuszków.

Druga Narratorka: Jak to było w dawnych czasach, Janek i Jasiek nie chodzili do przedszkola, ani do szkoły, ale musieli pilnować owiec. *Do dzieci:* Powiedzcie mi, czy dzieci powinny pracować, czy się uczyć i bawić? Nie słyszę!

Pierwsza Narratorka: Pilnując owiec Janek i Jasiek czasami bardzo się nudzili.

Chłopcy grający Janka i Jaśka kładą się na podłodze i machają nogami, mogą też powiedzieć: „Nuda!”

Druga Narratorka: Pewnego razu dostrzegli Lisicę niosącą zdobycz.

Przez scenę z lewej strony na prawą przechodzi Lisica (maska i ogon), coś niesie.

Ucieszyli się, bo pomyśleli, że może uda im się zobaczyć małe Liski. Podkradli się więc w stronę nory i zobaczyli, jak Lisica w niej znika.

Pierwsza Narratorka: Długo nic się nie działo, ale nagle z nory wybiegły Liski i zaczęły się wesoło bawić.

Dzieci przebrane za Liski (maski i ogony) wybiegają z ukrycia, biegają wokół, bawią się, mogą wykonywać taniec do muzyki.

Janek i Jasiak: Liski, Liski! Poczekajcie, my też chcemy się z wami bawić!

Liski uciekają przestraszone z powrotem do nory. Janek i Jasiak biegną za nimi, Janek przewraca się przy kamieniach i upada. Łapie się za nogę. Jasiak staje nad nim przestraszony.

Janek: Ojej, boli!

Druga Narratorka: Janek biegnąc wpadł nogą w jeden z podziemnych korytarzy lisiej nory. Dobrze, że nic mu się nie stało, tylko trochę go zabolalo. Niech mi publiczność powie, czy dzieci powinny się bawić same bez nadzoru rodziców? Głośniej!

Janek: (wstaje rozglądając się dookoła): Ojej, czarne kamienie! Jakie ładne! I jak dużo!

Jasiak: Weźmiemy do domu i pokażemy mamie!

Chłopcy zbierają kamienie do kieszeni i biegną do miejsca oznaczającego dom, gdzie pojawia się Mama, która miesza coś w trzymanym przez siebie garnku. Dzieci – Ogniki przemierzają się na miejsce ognia, nakrywają chustą i nieruchomieją.

Janek i Jasiak: Mamo, mamo, zobacz, znaleźliśmy zaczarowane kamienie!

Mama: Chłopcy, nie mam teraz czasu, robię kolację!

Pierwsza Narratorka: Powiedźcie mi dzieci, czy mamy powinny słuchać, kiedy dzieci chcą im coś pokazać? A może nie powinny? Tak, czy nie? Głośniej, bo nie słyszą!

Druga Narratorka: Są tu może dzieci, które się cieszą, kiedy mama nie ma czasu, żeby ich słuchać, ale Jankowi i Jaškowi zrobiło się smutno. Usiedli i zaczęli oglądać swoje „zaczarowane kamienie”.

Chłopcy siadają na podłodze i odkrywają, że kamienie mogą rysować. Zadowoleni, rysują sobie ręce, potem buzie, potem rysują po podłodze. Mama dalej przygotowuje coś w naczyniach na jednej z ław.

Jasiak: Mamo, mamo, zobacz, zaczarowane kamienie rysują!

Mama odwraca się i spostrzega, co się stało. Podbiega do dzieci.

Mama: Janek, Jasiak, jak wy wyglądacie! Macie brudne buzie i ręce, pobrudziliście wszystko dookoła! Natychmiast wyrzucicie te kamienie!

Janek: Ale to są zaczarowane kamienie!

Mama: Zaczarowane, czy nie zaczarowane, natychmiast je wyrzucicie, zanim wszystko umalujecie na czarno!

Pierwsza Narratorka: Niestety, czasem zabawki są szkodliwe, albo niebezpieczne i co trzeba wtedy z nimi zrobić? (Wyrzucić!)

Mama wraca do swoich zajęć. Smutni chłopcy zbierają kamienie i wrzucają je do ognia – na chustę. Ogień zaczyna się jasno palić, a płomień robią się o wiele większe – czyli Ogniki skaczą pod chustą.

Janek: Mamo, mamo, zobacz!

Jasiek: Od zaczarowanych kamieni jest tak ciepło i jasno!

Mama: *(nie odwracając się)* Ależ wy zaczarowane historie opowiadacie, dzieci!

Wchodzi Sąsiadka. Mama biegnie na jej powitanie.

Sąsiadka: Witajcie, sąsiadko, a co tu u was, w kuchni, tak ciepło? I tak jasno, i taki ogień duży?

Mama: *(przygląda się)* Rzeczywiście!

Janek: Widzisz, mamo, widzisz, to te zaczarowane kamienie!

Sąsiadka: Zaczarowane kamienie? A gdzie je znalazłeś? Pokażesz nam?

Janek i Jasiek: Chodźcie!

Wybiegają wszyscy czworo. Ogniki wybiegają spod chusty za nimi.

Pierwsza Narratorka: Powiedzcie mi, dzieci, czy to były zaczarowane kamienie? A co to było? (Węgiel).

Druga Narratorka: I tak właśnie dawno temu w Wałbrzychu znaleziono węgiel, a potem w tym miejscu powstała pierwsza kopalnia. A my gdzie teraz jesteśmy? (W Starej Kopalni). Czy ta pierwsza kopalnia mogła być właśnie tutaj? (Tak, bo tu, w tym miejscu, była niegdyś kopalnia o nazwie „Lis”, może na pamiątkę tych lisów, przy których norze mały chłopiec znalazł węgiel). A teraz zadam pytanie i ten, kto pierwszy odpowie, dostanie niespodziankę, tylko musi podnieść rękę wysoko do góry. Jak się nazywała kopalnia, w której teraz jesteśmy, kiedy jeszcze nie było w niej muzeum? (Thorez albo Julia).

Pierwsza Narratorka: A ja zadam drugie pytanie, też z niespodzianką. Kto według legendy był pierwszym górnikiem w Wałbrzychu? (raczej Janek, na pewno nie lis!) Ale chłopiec w legendzie był tylko jeden, a my przedstawiliśmy dwóch, żeby obaj mogli zagrać w naszym teatryku. I stąd te śmieszne imiona, bo przecież Janek i Jasiek to dwa zdrobnienia imienia Jan.

Druga Narratorka: Tak, legenda o węglu to jedna z najbardziej znanych legend wałbrzyskich, ale w każdej legendzie, jak mówią, tkwi ziarno prawdy. Wiemy, że w Wałbrzychu jest także zabytkowa sztolnia, czyli taki chodnik w kopalni, który jak się nazywa? (Lisia Sztolnia).

Tekst: Magdalena Sakowska

Dodatek 3: Skąd się wziął Biały Kamień i czemu na Chełmcu nie ma słowików?

Opis. Przedstawienie kabaretowe będące interpretacją legendy o pochodzeniu nazwy Biały Kamień obejrżeli słuchacze Sudeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, a w rolach głównych wystąpiła grupa kabaretowa: Narratorkę zagrała Barbara Pielech, Ducha Gór Karkonosza – Janina Mikołajek, wiedźmę Tobmetze – Maria Krajewska, a Matkę Naturę – Elżbieta Sejda. Aktorki same stworzyły sobie oryginalne kostiumy i dekoracje, wniosły też różne pomysły scenograficzne. Przy tworzeniu scenografii pomagały Ewa Glegocińska i Margareta Buczek.

Występują: Narratorka, Duch Gór Karkonosz, Matka Natura i wiedźma z Chełmca – Tobmetze

Wchodzi Narratorka.

Narratorka

Dziś wyjaśnimy Państwu, dlaczego na Chełmcu nie ma słowików i skąd się wzięła nazwa Biały Kamień. To oryginalna i jeszcze całkiem nieznaną wałbrzyska legenda. Dawno, dawno temu w maju Duch Gór Karkonosz, którego zapewne przedstawiać nikomu nie trzeba, wyruszył na inspekcję najbardziej oddalonych rejonów swojego górskiego królestwa.

Wchodzi Karkonosz, fantastycznie ubrany, z długą brodą, wielkim kołkiem i dużą torbą.

Kiedy zawędrował na Ślężę, zachwyił go śpiew słowików, którego nigdy dotąd nie słyszał.

Wchodzi Matka Natura niosąc w rękach ptaszki na sznurkach, jeden z nich ćwierka. Karkonosz słucha w zdumieniu.

Karkonosz

Co za wspaniały śpiew! Lepszy niż w Filharmonii Sudeckiej! Lepszy nawet niż w Forum Muzyki! Biorę!

Karkonosz zabiera Matce Naturze ptaszki i wkłada je do torby. Oburzona Matka Natura wychodzi.

Zaniosę je w moje góry, bo tam nikt nigdy nie słyszał takich ptaszków i zrobię prezent wszystkim mieszkańcom.

Wychodzi stukając kołkiem.

Narratorka

Karkonosz szedł, szedł, szedł, aż zaszedł do Wałbrzycha. Tu doszedł do wniosku, że się strasznie zmęczył i postanowił chwilę odpocząć.

Wchodzi bardzo zmęczony Karkonosz, ociera czoło, siada na ziemi i kładzie torbę obok siebie. Nagle dzwoni mu telefon komórkowy (burza). Karkonosz szuka go mrucząc ze złości, wyciąga i odbiera.

Karkonosz

Halo? Tak, ja. Pod Chełmcem. Co? Tu nie pada wcale. I nie padało. Sami nie możecie? Eee, takie to z was krasnoludki. Niby po szkole, z certyfikatami, a głupi deszczyk i już problem!

Siedzi chwilę i myśli. Nagle:

Tobmetze! (*do siebie*) Jak można mieć tak na imię w ogóle... (*głośno*) Tobmetze!

Narratorka

Mogę krótko wyjaśnić, kim jest Tobmetze?

Karkonosz

Chowając komórkę

Dobrze, tylko szybko, bo nie mam czasu. Jestem bardzo zapracowanym Duchem Gór.

Narratorka

Tobmetze była wiedźmą i mieszkała na Chełmcu. Jak to wiedźma, bardzo dbała o to, by wyglądać wyjątkowo paskudnie. Zajmowała się głównie pedagogiką – czyli wychowywaniem dzieci. Nie dożywiała się dziećmi, jak jej wredna krewna, Baba Jaga. Grzeczne dzieci zabierała na łąkę pełną poziomek, malin i jagód, a kiedy się najadły, odprowadzała je za rękę do domu. Tylko czasem zdarzały jej się pomyłki i dziecko z Konradowa potrafiła odprowadzić do Jabłowa, albo odwrotnie. A niegrzeczne dzieci Tobmetze zabierała do starego, ciemnego kamieniołomu na Chełmcu, gdzie mieszkała. Tam sadzała je na gołej ziemi wśród padalców, ropuch i robaków, dawała im do zjedzenia tylko grzyby i liście, i kazała liczyć igły na świerku. A kiedy policzyły, musiały zaczynać od początku.

(Wchodzi Matka Natura i pokazuje na dużych papierowych ilustracjach „prezentację”: narysowane liście, grzyby, ropuchy, padalce, robaki i świerk z jakąś dużą liczbą.)

Potem, gdy je odprowadziła do domu, były już odtąd bardzo grzeczne. Kiedy Chełmiec zasłaniały mgły, okoliczni mieszkańcy mawiali, że wiedźma gotuje coś w swojej kuchni i widocznie o tym zapomniła. Tobmetze czasem robiła też pranie. Wtedy rozbierała się do naga i suszyła rzeczy na dużej łące. Jeśli ją w takim momencie zobaczył jakiś mężczyzna, tracił rozum i biegał krzycząc po lesie. Ciekawe, dlaczego?

Karkonosz

No właśnie, dlaczego? Gdzież jest ta baba? Tobmetze! Tobmetze!!!

Wchodzi Tobmetze w zielonym fartuchu, w zielonych włosach ma pełno liści i szyszek, na ramionach ropuchę i kruka, ciągnie za sobą prześcieradło.

Gdzieś ty była tak długo!?

Tobmetze

Przepraszam, Duchu Gór, właśnie zaczął się maj i jak zawsze o tej porze roku miałam zrobić pranie...

Karkonosz

Dobra, dobra. Nie teraz. Słuchaj, muszę się szybko dostać na Podgórze, bo tam w górach od tygodnia pada i nie może przestać. Krasnoludki próbowały zatrzymać deszcz, ale ich zaklęcia są za słabe.

Tobmetze

To musisz, Duchu Gór, zejść na dół, tam jest przystanek, wsiądziesz w piątkę i na Placu Grunwaldzkim przesiądziesz się w dwunastkę. Albo w A-śkę.

Karkonosz

Jak?

Tobmetze

Tylko nie w jedenastkę, bo się dostaniesz na Kozice.

Karkonosz (*oburzony*)

Na jakie kozice?! Chyba na muflony?! Tu nie Tatry!

Tobmetze

A teraz mamy nawet bilet 60-minutowy i jak się pośpieszysz, to zdążysz tam i z powrotem na jednym.

Narratorka

A ja mam nawet wolny bilet ulgowy, proszę. Ile masz lat, Duchu Gór?

Karkonosz

Eee... z sześć tysięcy?

Narratorka (*zaszokowana, odbiera mu bilet*)

A, to nie potrzebujesz biletu, pojedziesz za darmo.

Karkonosz

Aha. No dobrze, a ty, Tobmetze, zostaniesz tutaj i popilnujesz mojej torby, bo już się dość nadźwigałem.

Tobmetze

A co w niej jest?

Karkonosz

Prezenty. Tylko przypadkiem nie waż się do niej zajrzeć! Powtórz!

Tobmetze

Prezenty. Tylko przypadkiem nie waż się do niej zajrzeć! Powtórz!

Karkonosz wstaje, grozi Tobmetze palcem i odchodzi. Tobmetze siedzi dłuższą chwilę i patrzy to na torbę, to przed siebie.

Prezenty. Prezenty. Prezenty. Nie wolno zajrzeć.

Narratorka do publiczności:

Narratorka

Jeśli Państwo nie znają jeszcze żadnej wiedźmy osobiście, to muszą Państwo wiedzieć jedną rzecz. Wiedźmy są straaaaasznie wścibskie.

Tobmetze wstaje i zaczyna chodzić dookoła torby nie odrywając od niej wzroku.

Naprawdę bardzo, bardzo wścibskie.

Tobmetze siada i zaczyna się cała drapać, jakby ją coś oblażyło.

Jak Państwo sądzą, wytrzyma?

Dzwoni komórka Tobmetze (ropucha), ona wyciąga ją z dekoltu i odbiera.

Tobmetze

Tak, tak, Duchu Gór, siedzę, torba siedzi obok, nie rozmawiamy ze sobą.

Wsadza komórkę za dekolt.

Narratorka

Wytrzyma?

Tobmetze wyciąga sobie z włosów szyszkę i zaczyna ją podrzucać i łapać.

Wytrzyma?

Tobmetze

A wy byście wytrzymali?!

Rzuca szyszkę.

A niech tam, Tobmetze za bardzo lubi prezenty!

Rzuca się na torbę i ją otwiera. Wchodzi Matka Natura, wyciąga z torby ptaszki, po czym odchodzi machając nimi i ćwierkając. Potem wchodzi ponownie, wnosi wielki biały worek wypełniony papierem, kładzie go na ziemi, zabiera torbę zdumionej Tobmetze i wychodzi. Tobmetze nieruchomieje z wrażenia. Wchodzi Karkonosz.

Narratorka

Słowiki odleciały, torba zniknęła, a kiedy Karkonosz wrócił, zobaczył Tobmetze siedzącą na ziemi obok wielkiego, białego kamienia.

Karkonosz

Co to jest?

Tobmetze

Eeee... gład narzutowy.

Karkonosz

A kto go tu przyniósł?

Tobmetze

Lodowiec! Ale już poszedł i nie mówił dokąd!

Wrzeszczy

I zabrał torbę!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Narratorka

Ale Karkonosz od razu domyślił się, co się stało.

Karkonosz

Ty wścibska, głupia więdźmo! Przez ciebie mieszkańcy całych Sudetów nigdy nie usłyszą pięknego śpiewu słowika! Chciałem zrobić prezent dla wszystkich, a przez twój beznadziejny

egoizm i ciekawość nic z tego nie wyszło! Za karę w twoim kamieniołomie już nigdy nie będą śpiewać żadne ptaki! I ty też nie będziesz śpiewać, tylko krakać, jak kruk!

Tobmetze

O nie! Litości, błagam, ja tak uwielbiam karaoke!

Karkonosz

Nie ma litości, ciesz się, że tylko taką karę dostałaś, bo chyba nie zauważysz żadnej różnicy! Idę! Jestem tak wściekły, że muszę wywołać jakąś lawinę, a tu nie ma gdzie!

Odchodzi tupiąc głośno i stukając kołkiem. Tobmetze próbuje coś zaśpiewać.

Tobmetze

Krrrr... krrrr-krrrr... A niech to!

Siada i zaczyna płakać.

Narratorka

Tobmetze, nie płacz, na pewno masz jakieś inne talenty!

Tobmetze

Już wiem! Pójdę i zapiszę się na Sudecki Uniwersytet Trzeciego Wieku! Tam się nauczę wielu ciekawych rzeczy, to nie muszę już śpiewać!

Wstaje, zabiera szyszkę, wpina ją we włosy, bierze prześcieradło i odchodzi kracząc melodię „Szła dziewczeczka do laseczka”.

Narratorka

Teraz już wszyscy wiemy, skąd się wzięła nazwa Biały Kamień? Od tamtej pory kobiety na Białym Kamieniu mawiały, że wścibstwo nie przynosi nigdy nic dobrego, a mężczyźni z Białego Kamienia mieli przysłowie: „Żadnej kobiecie nie powierzaj nigdy swojej torby”!

Wchodzi cały zespół.

Karkonosz

A czy dziś istnieje ten Biały Kamień, który przez wiele lat leżał na rozstaju dróg w lesie, a potem przy skrzyżowaniu ulic w tej dzielnicy Wałbrzycha?

Narratorka

Podobno ostatni raz widziano go, kiedy do naszego miasta w 1945 roku wkraczała Armia Czerwona...

Tobmetze

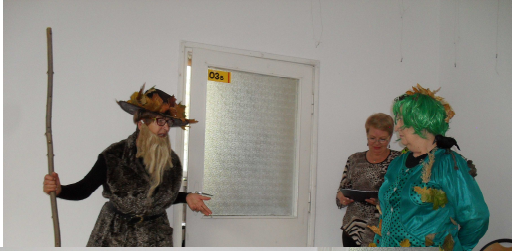
Ale skoro znalazł się złoty pociąg, kto wie, może odnajdzie się i Biały Kamień?

Wszyscy kłaniają się i wychodzą.

Tekst: Magdalena Sakowska

Zdjęcia podczas obu przedstawień robiły: Barbara Bogacka, Alicja Mikołajczyk, Krystyna Graczyk i Teresa Ziegler.







Ilustracje do legend

Ilustracje do legend i przedstawienia kabaretowego na zajęciach artystycznych pod kierunkiem Takisa Makandasisa stworzyły: Alina Piątkowska, Elżbieta Sejda, Irena Strzelczuk oraz Maria Widerowska.



Lisica kopie węgiel – Elżbieta Sejda



O słowikach, które nie śpiewają pod Chełmcem – Maria Widerowska

Poniżej:

Tobmetze robi pranie i suszy rzeczy na dużej łące pod Chełmcem – Irena Strzelczuk



Czarne złoto Wałbrzycha – Maria Widerowska



Tobmetze odbiera telefon od Karkonosza – Irena Strzelczuk



Ditter i Paola na Podgórzu – Alina Piątkowska



Paola modląca się przy kościółku Matki Boskiej Bolesnej – Alina Piątkowska



Olbrzym – Elżbieta Sejda

Wskazówki bibliograficzne

Jak wspomniałam we wstępie, najważniejsza przedwojenna publikacja dotycząca legend Wałbrzycha i okolic to *Geschichte und Sagen der Burgen und Städte im Kreise Waldenburg (Dzieje i podania zamków i miast w regionie Wałbrzycha)* Wilhelma Reimanna. Pierwsze wydanie miało miejsce we Wrocławiu około roku 1899, a drugie w Mieroszowie w 1925. W Bibliotece pod Atlantami znajdują się dwa egzemplarze pierwszego wydania, w jednym z nich brak stron dotyczących legend książęńskich. Egzemplarz drugiego wydania w wersji elektronicznej jest dostępny na stronach Dolnośląskiej Biblioteki Cyfrowej:

<http://www.dbc.wroc.pl/dlibra/docmetadata?id=11555>

W powojennym Wałbrzychu nie było, jak dotąd, dużej antologii tutejszych legend. W 2009 roku nakładem wałbrzyskiego oddziału Caritas wydano *Baśniowy Wałbrzych*, w którym Liliana Wiercińska-Gronuś, Danuta Orska i Tomasz Pluta ubrali w literacką formę kilka podań, między innymi o cudownym źródle i kapliczce Maryjnej, o Skale Olbrzyma, o wiernej małżonce z Nowego Dworu, o skarbie tegoż zamku i o pastuszkę, który znalazł węgiel w pobliżu lisiej nory.

Wcześniej, w 1996 roku, nakładem wrocławskiego Wydawnictwa Europa ukazał się *Zaczarowany dzwon* Krzysztofa Kułagi, zbiór dziesięciu legend książęńskich przedstawionych w antologii Reimanna. Są tu oczywiście opowieści o Skale Olbrzyma i o zatopionych w Pełcznicy skarbach, a także o poświęceniu matki, o zaczarowanym dzwonie, o skałce szczęścia, o dziewczynie trafionej przez piorun w dniu ślubu, o siostrach zamienionych w nimfę i kwiat czy o duchu myśliwego pojawiającym się w Parku Książęńskim. Co ciekawe, nie ma tu historii o Fryderyku noszącym miano Funkenstein.

Legendy dolnośląskie, a wśród nich pojedyncze podania związane z Wałbrzychem i okolicami, na przykład z zamkiem Grodno, można znaleźć między innymi w tych wydawnictwach: K. Kwaśniewski, *Podania dolnośląskie* (Wrocław 1968 i kilka wznowień), K. Dobkiewiczowa, *Róże w błękitnym polu* (Warszawa 1982) i *Szkarłatny Rycerz* (Katowice 1990) czy J. Janczak, *Legendy zamków śląskich*, (Wrocław 1995). Tajemniczy myśliwy z psami z okolic zamku Książ reprezentuje Wałbrzych w zbiorze Bogny Wernichowskiej i Macieja Kozłowskiego *Duchy polskie* (Warszawa 1983).

W Pracowni Regionalnej Biblioteki pod Atlantami znajdują się posegregowane według okolicznych miejscowości i zamków materiały prasowe od wczesnych lat powojennych do dzisiaj. Są tam na przykład krótkie legendy o Książu Alfonsa Szyperskiego, wydrukowane w „Gazecie Robotniczej” w 1978 roku oraz historia o Fryderyku zwanym Funkenstein (M. Rodziewicz, J. Marszałek, *O powstaniu Książa*, „Wałbrzyskie Wieści” 2003, nr 18). Legendy o smoku-olbrzymie i skarbach w Pełcznicy przytacza Piotr Marzec w „Koksochemiku Wałbrzyskim” (sierpień 1981, maj 1980). Rehabilitacji olbrzyma podjęła się Małgorzata Dwornik (*Jak Liczyrzepa ze Skarbnikiem wojował. O olbrzymie z Książa*, publikacja wydana w Wałbrzychu w 2005 roku). W jej wersji olbrzym też zakochuje się w siostrze leśniczego, ale w jej obronie ginie w walce z groźnym smokiem.

W „Wałbrzyskich Wieściach” w roku 2003 został przedstawiony cykl legend związanych z zamkiem Nowy Dwór, z zamkiem tym jest też związana opublikowana wówczas w „Wieściach” wersja legendy o cudownym źródle i kapliczce (zamiast księcia

pojawia się tu hrabia z Nowego Dworu). Wersję tej legendy bliską tekstowi Reimanna prezentuje Zbigniew Partyka w „Informatorze kulturalnym i turystycznym województwa wałbrzyskiego” (nr 5 z 1987 roku). Historię o Henryku i niedźwiedziu wraz ze wskazówkami topograficznymi przytacza Kazimierz Jankowski w „Wałbrzyskim Informatorze Kulturalnym” z lutego 2012 roku. On też opowiada w tymże periodyku (wrzesień 2011) legendę o Ditterze lub Dietterze i Paoli. Okoliczności powstania drewnianego kościółka i pierwszej osady opisuje także Piotr Marzec w „Koksochemiku Wałbrzyskim” z września 1981 roku.

Oczywiście, we wspomnianych materiałach można znaleźć także inne wałbrzyskie legendy, niewykorzystane w naszym zbiorze: np. historię o księdzu z Czech, który miał w Wałbrzychu ufundować klasztor, czy o Boguszu karczującym lasy w okolicach dzisiejszej Piaskowej Góry, który dzięki Karkonoszowi miał pierwszy odnaleźć w Wałbrzychu węgiel. O niesamowitych istotach, między innymi o Tobmetze lub Tobmetzen, pisał Kazimierz Jankowski w „Wałbrzyskim Informatorze Kulturalnym” (2014, nr 1-2).

Pojedyncze legendy wałbrzyskie znajdują się także w przewodnikach i innych publikacjach krajoznawczych. Legendy książańskie streścił Alfons Szyperski w wydawnictwie *Zamek Książ* w 1991 roku. Kilka podań przytacza Krzysztof Kułaga w *Przewodniku po Ziemi Wałbrzyskiej* (Wydawnictwo Alkazar, Opole 2007).

Magdalena Sakowska